POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 24-go stycznia 1942r.* **Rok IV. Nr. 4**

ICH WALKA I NASZA

Dobitne wspomnienie powstania styczniowego przechowało się w świadomości narodowej bardzo długo. Oczywiście—żywiej w byłym zaborze rosyjskim, który był terenem walki, ale i w innych zaborach znaleźli się jej uczestnicy. Niektórzy byli emigrantami z Kongresówki; inni wrócili do domów, przekraczając kordon, skoro walka w Kongresówce zamarła. Charakterystyczny i zbyt mało wskutek warunków późniejszych wyzyskany był udział chłopów litewskich w powstaniu. Ze wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej oni stanowili największy procent włościaństwa w walczących szeregach. Grottgerowska Lithuania siłą i wymową przewyższa Polonię—i bodaj że to nie jest przypadek.

Powstanie, akt zbiorowej woli narodu, reprezentowanego wówczas przez liczną szlachtę wiejską i wkraczające w życie mieszczaństwo—w znaczeniu inteligencji miejskiej—nie porwało za sobą ludu. Lud, w owych czasach jeszcze nie był dostępny uczuciu narodowemu w świadomej formie.

Lud wszędzie jest realistą i legalistą. Poszedł swojego czasu na zew Kościuszki, bo miał świeżą tradycję państwową. Dał swoją daninę legionom Dąbrowskiego—znowu szli przeważnie dawni żołnierze z rozformowanych pułków Rzeczypospolitej lub jeńcy, uchodzący z szeregów austriackich. Bił się też po żołniersku podczas rewolucji listopadowej. Instynktem bliski był swoim, nie obcym. Podczas powstania styczniowego instynkt ten w części osłabł. Składały się na to przyczyny społeczne i polityczne, nasze winy i zręczna polityka zaborców. O "rabacji" 1846 roku w Galicji wiedziano i w Królestwie; próżno się łudzić, że było inaczej.

Rogatki chłopskie podczas powstania styczniowego nie dorównały grozą tamtym koszmarnym scenom, ale przecież były podobnego gatunku. Zrywająca się do wolności Polska płaciła ofiarę za dawne zaniedbania, za niemożność wprowadzenia "rządnej wolności", która przyświecała twórcom Konstytucji Majowej, za zbyt powolne wchłanianie idei, reprezentowanych przez Kościuszkę i Staszica.

Nie zdołały tego naprawić szczerze demokratyczne, naprawdę ludowładcze poglądy emigrantów, hasła emisariuszy i manifesty Rządu Narodowego. Lud nie wierzył i nie ufał. Nie zdołano dojść do jego świadomości, ani zdobyć jego serca dla powstańczej Polski. A przecież trzeba było gorąco kochać, żeby iść po linii największego oporu, po linii walki krwawej i ciężkiej.

Jeżeli latom popowstaniowym zarzuca się zapoznanie romantyzmu politycznego, co było reakcją po nadmiernej mistyce wzlotów, to nie można odebrać im zdrowej myśli pójścia do ludu, odrobienia pracą organiczną tego, czego poprzednio uczynić nie zdołano. W całokształcie polityki narodu polskiego pod zaborami ten okres przyniósł bardzo wiele, choć w porównaniu do lat poprzedzających wydaje się powszedni i szary. Bez pracy demokracji narodowej i socjalizmu polskiego, które jak gdyby podzieliły sobie sfere wpływów na lud, nie były by możliwe legiony Piłsudskiego z całym odrodzeniem idei walki czynnej, nie był by do pomyślenia fakt tak szybkiego odbudowania państwa w roku 1918, wreszcie—nie był by zabłysnął ten świetny i bohaterski odpór, dany okupantom przez powaloną państwowo i wojskowo Polskę w dobie, którą przeżywamy.

Prawda, że dwadzieścia lat niepodległości było dla ludu polskiego okresem względnego rozkwitu. Nawet przy najkrytyczniejszym ujęciu rozmaitych momentów naszej polityki wewnętrznej, co do której żywić można tyle zastrzeżeń, przyznać trzeba, iż zarówno polityczne, jak gospodarcze i oświatowe przedsięwzięcia pozwoliły ludowi wyzwalać się co raz bardziej, nabierać sił i krzepnąć w charakterze pełnoprawnego czynnika narodowego. Lud szybko otrząsnął się z nalotu obcej państwowości i przywiązał się do swojej, unowocześnionej, żłobiąc sobie w niej własną drogę. W ten sposób naocznie wykazał wszystkim, iż stanowi element politycznie wdzięczny, który za każde przyznane mu prawo zbiorowości stokrotnie odpłaci.

Nasuwają nam te myśli echa, idące z borów i lasów polskich, gdzie zrywa się ciągle nieustępliwa walka z wrogiem. Nasuwają nam je dymy palonych bezlitośnie wsi, w zemście za pomoc, udzielaną partyzantom. Minęły czasy strasznych rogatek chłopskich; w zasiekach, rzuconych przez gołogórza, biją się dziś chłopi polscy z wrogiem ojczyzny. Jeżeli będzie jeszcze kiedy "rabacja," to wycharczą ją krwawo brutalni najeźdźcy. Naród jest dziś jeden—i to jest wielka zdobycz ostatnich stu pięćdziesięciu lat.

Powiedzieć, że to jedynie nasza zasługa, było by zapewne przesadą. Składały się na to czynniki rozwoju i postępu społecznego, idącego przez światy, czy kto chce czy nie chce. Brutalność zaborców, zwłaszcza Niemców, też zrobiła swoje, pracując mimo woli dla nas. Natomiast śmiało powiedzieć można, że świadoma wola narodu polskiego uczyniła, co mogła, aby ta wielka sprawa ciałem się stała. W obliczu potwornej reakcji pogańskiej, materialistycznej i przeciwnarodowej, Polska staje tak spojona, jak może nie była nigdy. Nawet tam, gdzie można było mieć wątpliwości, czy lud nie pójdzie na lep zamętu społecznego i haseł demagogicznych, oparł się zwycięsko i cierpiał w milczeniu, marząc o powrocie do walki. Polska jest sobą, w niezłomnej woli przetrwania i dalszego trwania. Nie da sobie również podyktować obcej woli co do form swego niezawisłego bytu.

* * *

Słowa Żeromskiego o Polsce, która musi mieć twardość kamienia młyńskiego, jeśli nie chce być zmielona przez potworne żarna, z obu stron na nią następujace—są wiecznie prawdziwe i aktualne. Przez sześćset lat swego istnienia przedrozbiorowego Polska walczyła frontem za zachód. Przez czterysta lat front zwrócił się na wschód. Najprzód Niemcy, w różnych odmianach i rodzajach, potem Moskwa, Tatarzy i Turcy.

Zresztą upraszczamy właściwie obraz, bo walka na dwa fronty zdarzała się w obu okresach. Nawet niemieckie spory po wojnie trzydziestoletniej wtargnęły do nas zalewem najazdu szwedzkiego. Jagiellonowie, ci świetni przedstawiciele federalistycznej myśli państwowej, która dała wielkość Polsce, nie potrafili obronić Czechów i Węgrów, rozbudować Polski w bliski krwią lub dusza organizm Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej. Za Wazów, przy nastawieniu na wschód, spóźniono się z pomysłem ugody hadziackiej, nie urzeczywistniono przed tym idącej w ręce unii dynastycznej z Moskwą. A był to czas, może jedyny, kiedy ta unia była możliwa.

Istotnie, geopolityczne położenie Polski stwarzało zawsze trudności. Ale na to nie poradzimy. Stwarzało, stwarza i stwarzać będzie. Tylko siła własna, wzmocniona siłami współrzędnych partnerów, może zapewnić nam pokój i jego owoce.

Patrząc na tysiącletnie dzieje naszych stosunków z Niemcami, obserwując stosunek tych naszych sąsiadów do innych państw i narodów, musimy wyciągnąć jasny wniosek: prędzej pogodzi się ogień i woda, niż my z nimi. Czegóż bowiem chcą od nas ciągle Niemcy? Ustępstw terytorialnych, uprzywilejowania dla siebie, uznania ich rzekomej wyższości kulturalnej, rasowej i Bóg wie jakiej jeszcze. Wzamian za to ofiarowują nam stanowisko knechtów w przedniej straży ich parcia na wschód. Tak było za markgrafa Gerona, tak jest za Hitlera. Nie zmieniło się nic. Tymczasem—jak wtedy, tak i teraz. te żądania są sprzeczne z naturą, z naszym duchem narodowym i, jeśli tak rzec można, z misją dziejową Polski.

Nikt nie ustępuje dobrowolnie swojej ziemi. Nikt nie zgadza się dobrowolnie na zapoznanie godności narodowej. Nikt wreszcie prawdziwie kulturalny nie godzi się na dopomaganie w rozboju i grabieży. Aż do drobnych szczegółów różnimy się we wszystkim nie tylko z Trzecią Rzeszą niemiecką, ale różniliśmy się już z Pierwszą, ze Świętym Cesarstwem narodu niemieckiego. Każde z nią współdziałanie przynosiło nam bezpośrednie lub pośrednie straty. Natomiast każdy krok polityczny, przeciwny interesowi Niemiec, na przykład unia z Litwą, tak zwalczana przez Krzyżaków, dawał nam na długie lata wielkość, moc i potęgę.

Sądzę, że nie trzeba mnożyć przykładów, aby uznać ten wywód za logicznie zamknięty. Każda propozycja niemiecka musi być przez nas uznawana za niebezpieczną. Gdyby można było wybudować olbrzymi mur, dzielący nas od tego sąsiada, warto było by ponieść największe ofiary, aby mur taki powstał. Murem takim musi stać się nieprzełamany front wszystkich wschodnich sąsiadów Niemiec, utworzony przez Polskę. Wszystkich bez wyjątku, bo oni zagrażają wszystkim.

* * *

A teraz—drugi nasz sąsiad, sąsiad ze wschodu, olbrzymie imperium rosyjskie, dziś zwiazane w państwo o świadomie skreślonej nazwie narodowej, ale nie mniej bedace spadkobiercą monarchii carów, o wyraźnej przewadze elementu i ducha rosyjskiego nad podporządkowanymi mu narodami.

W stosunkach z Rusia, Moskwą, a potem Rosją miewaliśmy różne okresy. Wdawali się nasi królowie w domowe wojny Rurykowiczów, kojarzyli sie z nimi małżeństwami; z wielkoksiażecą czapką litewska przypadło Polsce władanie częścią ziem ruskich. Król nasz przejściowo panował na Kremlu, ale i my przed tym o mało nie obraliśmy na króla Iwana Wasilewicza. Gdyby nie był wschodnim tyranem, osławionym okrucieństwami, kto wie. czy nie było by do tego doszło. I kto wie, jaki było by dało wynik. Już za wielkie jednak były różnice duchowe miedzy obu narodami, już polski wiek złoty zawiódł nas zbyt daleko na zachód. Nie mogliśmy. Los Wielkiego Nowogrodu, pozbawionego wiecowych swobód, zbyt był pouczający. Myśmy już byli państwem republikańskim.

Potem, gdy z Piotrem Wielkim Rosja co raz zuchwalej wkraczała w nasze dziedziny, gdy wreszcie Katarzyna stanęła w liczbie naszych rozbiorców, stosunek musiał ulec i uległ kardynalnej zmianie. Byliśmy narodem podbitym; z wolnością narodową utraciliśmy swobody obywatelskie. Była to niewola podwójna i nieznośna. Ubliżała poczuciu polskości i człowieczeństwa.

Gdy Aleksander I "przywrócił imię narodowi polskiemu," nie doprowadzając niestety swych postanowień do oczekiwanych konsekwencyj, przypomnijmy sobie, iż w niektórych umysłach polskich świtała myśl ugody z Rosją. O czymże innym myślał jeszcze przed tym Adam Czartoryski, gdy był rosyjskim ministrem spraw zagranicznych w epoce Napoleona, wbrew opinii powszechnej swego narodu? Jaki kierunek reprezentował Drucki-Lubecki, znakomity minister skarbu Królestwa Kongresowego? Co sobie myśleli tacy wodzowie, jak Chłopicki?—To była myśl pogodzenia się z dynastią i za tę cenę opanowania Rosji, usunięcia z niej przemożnych wpływów baronów bałtyckich, poprowadzenia kolosa na europejskie tory.

Nie mogliśmy. Mierził nas Konstanty, pomimo niewątpliwego przywiązania do oddanego mu w ręce narodu, czuliśmy głęboką nieufność do zbiurokratyzowanej szlachty rosyjskiej, mimo jej francuszczyzny i europejskich pozorów. Sybir i knuty nie wydawały nam się nigdy metodą rządzenia, możliwą dla kraju o tradycji wolności obywatela. To też przyszło powstanie listopadowe.

Zapłaciliśmy za nie drogo—utratą tego, co mogło być odskocznią do kwitnącego bytu. Jeżeli wziąć pod uwagę późniejsze losy lojalnej Finlandii, to jednak chyba mieliśmy słuszność. Ale do myśli ugody powrócono u nas i potem.

Powrócił do niej Aleksander Wielopolski, dawny agent dyplomatyczny Rządy rewolucyjnego z 1831 roku w Londynie, mimo, iż mistrz jego, Czartoryski, wyrzekł się marzeń swej młodości, podpisawszy akt detronizacji wieczystej Romanowów, i umarł na wygnaniu we Francji. Margrabia zaproponował pakt dynastii rosyjskiej, ale zaproponował od siebie. Kraj nie uznał jego inicjatywy.

Wybuchło powstanie styczniowe i raz jeszcze oddzieliło oba narody morzem przelanej krwi i zadanych pokonanym mąk. Zresztą stwierdzić trzeba, że myśl pogodzenia się z dążeniami narodowymi Polski była w ówczesnym społeczeństwie rosviskim głęboko niepopularna. Przez cały XIX wiek urzędnicza szlachta i wojsko, a więc inteligencja i lud, żywo obruszały się na wszelkie sfolgowanie systemowi ucisku, a z całym zapałem brały udział w tłumieniu powstań. Kilku emigrantów-rewolucionistów tego obrazu nie zmienia.

Rzecz dziwna. Dążenie do pogodzenia przeciwieństw tak silnie narzucało sie rozumowaniu, nawet wbrew uczuciom, że myśl ugody zaczyna znowu świtać w Polsce w ostatnich latach XIX stulecia, w momencie wstąpienia na tron ostatniego cesarza Mikołaja, po twardej epoce Aleksandra III. Nie dało żadnych wyników, jak nie dało ich również posłowanie Polaków do rosyjskiej Dumy Państwowej.

Spotkali się z odporem społeczeństwa rosyjskiego wszelkich odcieni, od prawicy do skrajnej lewicy, wykluczającym możność porozumienia. W przeddzień wojny światowej zadekretowano odłączenie od Królestwa Polskiego Chełmszczyzny, a gospodarka rosyjska w roku 1915 w zdobytym na Austrii Lwowie przeczyła całkowicie wzniosłym słowom manifestu wielkiego księcia Mikołaja o "marzeniach ojców i dziadów naszych."

Jedynym życzliwym odruchem, jakiego Polska doczekała się od tamtej Rosji, było uznanie naszego prawa do niepodległości przez rosyjski Rząd Tymczasowy po rewolucji roku 1917. Co prawda, znaczenie tego aktu było osłabione okolicznością, iż na ziemiach polskich siedział okupant niemiecki.

Mówimy to wszystko dlatego, aby przypomnieć, iż z sąsiadem wschodnim mieliśmy także silne i zadawnione spory. Ba! A rok 1920 u zarania naszej niepodległości! A rok 1939 w momencie naszego śmiertelnego zmagania z bezlitosnym wrogiem! A skutki wypadków 1939 roku dla naszych ziem wschodnich, dla milionowych rzesz naszych obywateli! Czyż można o tym nie pamiętać?

* * *

Nikt tego nie żąda, bo nikt tego żądać nie może. Zresztą było by to żądanie bezskuteczne. Tylko bardzo długie lata i życie kilku pokoleń zaleczy rany, pozwoli myśleć spokojnie i beznamiętnie.

Chodzi w tej chwili o uświadomienie sobie dwu prawd. Jedna głosi, że stanowimy organizm narodowy odrębny, który przez lat przeszło tysiąc ukształtował się odmiennie od zachodniego i wschodniego sąsiada. Organizm ten, aby istnieć, zgodnie z prawami Boskimi i ludzkimi, musi być niezawisły. Tylko wtedy może zapewnić pomyślność swoim obywatelom, tylko wtedy może do zbiorowego dzieła ludzkości wnieść to, co mu wnieść nakazuje geniusz narodowy.

Podkreślają to z całą mocą wszystkie wypowiedzi naszego Rządu i generała Sikorskiego. W wypowiedziach tych zaznaczona jest również nienaruszalność terytorium państwowego, jako czynnika, który jest dla niepodległości niezbędny. To żadnej wątpliwości nie podlega.

Drugą prawdą jest konieczność walki. Walki przeciw wrogowi, który istnieniu naszemu zagraża. Wrogiem tym są Niemcy.

Walka przeciw Niemcom trwa. Walka przeciw Rosji ustała, ponieważ Rosja, napadnięta przez Niemcy, znalazła się w obozie przeciw-niemieckim.

Z tego Wódz Naczelny wraz z Rządem wyciągnął wszystkie konsekwencje. Przełamał istniejące trudności i poszedł po drodze jedynie możliwej, bo jedynie prowadzącej do zwycięstwa. Zawarł pakt wojenny, dający setkom tysięcy Polaków w Rosji broń w rękę, a setki tysięcy chroniący od zagłady. Od tamtej strony zależeć będzie, czy pakt ten po wojnie przetworzy się w takie ukształtowanie stosunków, aby wskrzeszona Polska nie miała już nigdy zatargów z rosyjskim sąsiadem. Na podstawie równości praw i nienaruszalności ziem. Na podstawie sąsiedzkiego stosunku równych z równymi. Na podstawie uczciwości politycznej.

Tylko taki pakt będzie paktem na stałe realnym. Dobrym dla Rosji i dla nas. A fatalnym dla Niemców.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Kryzys w działaniach wojennych

Jak wielką miał słuszność gen. Weygand, gdy jesienią 1940 w wywiadzie prasowym oświadczył, że wojna jest jeszcze daleka od punktu kryzysowego. Nie wątpię, że gdyby miał okazję ponownie udzielać wywiadu na przełomie 1941/42 oświadczyłby zapewne, że na niektórych frontach jak, np. w Rosji lub Syrii działania wojenne minęły już swój punkt kryzysowy kampanii—nie mógłby natomiast tego powiedzieć o sytuacji na Dalekim Wschodzie, gdzie rozgrywka zbliża się dopiero do maksymalnego napięcia.

Byłoby oczywiście zbyt wielkim optymizmem twierdzić, że krzywa sukcesów niemieckich, która osiągnęła swój szczyt po zdobyciu Krety, lub, oceniając sukcesy ilością kilometrów kwadratowych zdobytych terytoriów po dojściu do Moskwy i Rostowa—będzie już tylko opadała w dół. Tak długo, jak armia niemiecka nie straciła swojej wartości ofensywnej a Hitler posiada jeszcze moc wydawania rozkazów—może on jeszcze w najbliższym czasie wywołać niejeden krytyczny moment w sytuacji wojskowej.

Ponieważ zadaniem komentarzy nie jest stawianie kabały na przyszłość lecz ocena operacyjna działań wojennych, rozpatrzmy pokrótce ich przebieg za ostatnich parę tygodni.

FRONT SOWIECKI

Sowiecki zwrot ofensywny na całym froncie stale się rozwija, zmuszając wojska niemieckie do oddawania całego szeregu miejscowości. Z wyjątkiem klasycznego manewru Timoszenki na Rostów, dość trudno byłoby do obecnych działań sowieckich dostosować wyrażenie w tym wypadku raczej po staroświecku brzmiące—kontrofensywa, jako termin działania —w pewnym określonym kierunku z pewnym zmasowaniem sił. Armia sowiecka, która potrafiła przeprowadzić w sposób nowoczesny odwrót, trwający ponad 5 miesięcy—stosuje i obecnie najbardziej nowoczesną formę działania. Polega ona na ustawicznej zmianie punktu ciężkości uderzenia. Metodę tę stosowali także Niemcy w czasie swojej ofensywy, trzymając w ten sposób dowództwo sowieckie w szachu i napięciu.

Metoda działania sowieckiego polega na wywalczaniu sukcesów lokalnych na całym froncie oraz przenikaniu (szczególnie kawalerii) w głąb ugrupowań niemieckich. Dzięki temu bolszewicy trzymają cały front niemiecki w napięciu, rozpraszając ponadto odwody niemieckie i zmuszając ostatecznie Reichswehrę—wedle brzmienia oficjalnych wypowiedzi niemieckich—do "racjonalizacji frontu" . . .

Tym nie mniej w ciągu miesiąca walk, od chwili rozpoczęcia przez armię sowiecką działań zaczepnych, zarysowują się dość wyraźnie pewne kierunki szczególnie silnego naporu, kierunki będące wyrazem pewnej myśli operacyjnej.

A więc na froncie karelskim, bronionym przez Finów należy zanotować, że wzmagająca się działalność sowiecka zaczyna budzić co raz większe zaniepokojenie w Finlandii, zdanej już obecnie wyłącznie na własne, mocno wykrwawione siły. Wojska niemieckie zostały niedawno z terytorium Finlandii całkowicie ewakuowane; na pomoc Zachodu tym razem już Finlandia liczyć nie może.

Jeżeli idzie o rejon Leningradu, to oddawna już nie można mówić o jego oblężeniu, gdyż załoga jego ma kontakt z wojskami odsieczy po lodzie jeziora Ładogi. O działaniach zaś oblężonego garnizonu świadczy fakt zajęcia w tych dniach wyspy Hogland, leżącej na pół drogi pomiędzy Finlandią i Estonią. Sukces ten może w najbliższym czasie zagrozić bądź lewej flance v. Leeba, opierającej się o zatokę Fińską, bądź też wojskom fińskim, w razie natarcia sowieckiego na przesmyk karelski. W każdym razie może być wysoce nieprzyjemny w razie zupełnie możliwego desantu sowieckiego na tyły armii Leeba, zaangażowanego w ciężkie walki na linii jezioro Ilmen-jezioro Ładoga.

Na odcinku moskiewskim, na którym Niemcy skoncentrowali swoje największe siły, w przededniu nowej ofensywy na Moskwę, walki trwają z największym obustronnym natężeniem. Po całym szeregu sukcesów lokalnych, osiągniętych po zaciętych walkach, wojska sowieckie odebrały Kalinin, Wołokołamsk, Małojarosławiec i Tułę. W obecnym momencie zarysowuje się płytki manewr w trójkącie Rzew-Juchnów-Możajsk na Wiazmę, który zadecyduje o upadku bronionego z nadzwyczajną zaciętością Możajska.

Na podstawie obserwacji dotychczasowych działań można dojść do wniosku, że upadek Wiazmy będzie jedynie etapem w przeprowadzaniu głębszego manewru, który można będzie nazwać bitwą o Smoleńsk. Sądzę, że po upadku Wiazmy, dowództwo niemieckie przystąpi do ewakuacji ze Smoleńska, będącego bazą tyłową, ogromnych magazynów i składów. Tamże też ma się rzekomo znajdować kwatera główna nowego wodza naczelnego Hitlera . . .

Nie mniej interesujący jest rozpoczynający się obecnie co raz silniejszy napór sowiecki w rejonie Basenu Donieckiego na Charków oraz na północy na Kursk. Napór ten zagraża armii dowodzonej do niedawna przez zmarłego nagle marszałka von Reichenau'a.

Szczególnie jednak interesująca jest operacja sowiecka na Krymie, będąca wyraźnym zaprzeczeniem poglądów niektórych pisarzy, którzy twierdzą, że "strategia sowiecka wyłączyła całkowicie manewr . . ."

Obecne operacje desantowe na wschodnim wybrzeżu w rejonie Kerczu, a ostatnio i na zachodnim, w rejonie Eupatorii, mogą w najbliższym czasie postawić armię gen. Mannsteina, oblegającą bezskutecznie Sebastopol w sytuacji bardziej niż krytycznej. Mało tego, działania te mogą w konsekwencji zagrozić tyłom v. Kleista obsadzającego wciąż jeszcze linię rzeki Mijus, w rejonie Mariupola.

W każdym razie najbliższe tygodnie przyniosą rozwiązanie paru zarysowujących się obecnie manewrów sowieckich.

FRONT LIBIJSKI

Cały przebieg drugiej fazy działań niemieckich w drugiej połowie grudnia i połowie stycznia może być klasycznym przykładem dobrze prowadzonego manewru odwrotowego. Po rozpoczęciu pełnego odwrotu, Rommel stoczył trzy zacięte, trwające po parę dni bitwy pod Gązalą, w której odznaczyła się nasza Brygada Karpacka, na linii Derna-Mekili i pod Jedabją.

Każda z tych bitew, prowadzona przeważnie przez straże tylne Rommla, dawała pozostałym siłom możność spokojnego oderwania się i przygotowania nowej linii obronnej. Szczególnie zacięta była bitwa pod Jedabją na skutek dogodnej sytuacji obronnej Rommla. W tej bitwie obie strony poniosły dość znaczne straty. W najbliższych dniach, na skutek wycofania się Rommla z Jedabji należy liczyć się z walkami w rejonie El-Agheila, które mają umożliwić głównym siłom Rommla wycofanie się do Trypolitanii.

Komunikaty brytyjskie tłomaczą dość wolne tempo ofensywy, a raczej, pościgu, całym szeregiem powodów, z których na pierwszym miejscu wymieniają stosowanie przez wycofującego się nieprzyjaciela pól minowych, co raz dłuższe linie komunikacyjne i wzrastające trudności zaopatrywania, a wreszcie wysoce niepomyślne warunki atmosferyczne.

Jednocześnie odbywa się likwidacja izolowanych ośrodków oporu, które pozostały jeszcze na granicy libijsko-egipskiej, jak Bardia, Hallfaya i Sollum. Po zdobyciu Bardii i wzięciu tam ponad 8,000 Jerców oraz Sollum, losy Hallfayi zostały przesądzone w stosunkowo krótkim czasie.

Jak dotąd wojska brytyjskie i alianckie wzięły do niewoli ponad 30,000 jeńców i znaczne ilości sprzętu, a staje się coraz bardziej jasne, że o ile Rommel nie otrzyma w najbliższym czasie posiłków, likwidacja jego będzie już tylko sprawą czasu. Dlatego też co raz silniejsza koncentracja Luftwaffe w Sycylii i co raz częstsze naloty na Maltę są dowodem, że Niemcy nie pozwolą na zbyt łatwe zlikwidowanie swojej awantury afrykańskiej.

TRZECI FRONT—DALEKI WSCHÓD

Działania na Dalekim Wschodzie rozwijają się jak na filmie batalistycznym, z szybkością najprawdziwszego Blitzkriegu, aczkolwiek, jak dotąd, zupełnie niesłusznie zresztą, nikt nie zastosował jeszcze tego terminu do kampanii na tym odległym froncie.

Nie jest zadaniem, tego ograniczonego w swoich ramach komentarza omawianie wysoce urozmaiconego przebiegu licznych i wszechstronnych działań, których pomyślne przeprowadzenie jest wynikiem ich uprzednich umiejętnych posunięć dyplomatycznych i wojskowych. Cały przebieg tych działań jest jak dotąd pod znakiem całkowitej inicjatywy i przewagi Japończyków na morzu, lądzie w powietrzu.

Pomimo strat, spowodowanych przez pięcioletnią wojnę w Chinach, Japończycy w wojnie z trzema nowymi potężnymi przeciwnikami potrafili dokonać bardzo wiele. W wojnie ze Stanami Zjednoczonymi zagarnęli prawie wszystkie bazy morskie na Zachodnim Pacyfiku, zadając bardzo poważne straty flocie amerykańskiej. Sytuacja wojsk gen. Mac-Arthura na Filipinach może w każdej chwili stać się niezmiernie krytyczna, wobec niemożności dowiezienia posiłków z Ameryki . . .

Jeżeli idzie o wojnę z W. Brytanią, to w wyniku przeprowadzonych nadzwyczaj umiejętnie trudnych działań w dżunglach malajskich, połączonych z desantami na tyłach wojsk brytyjskich na wschodnim i zachodnim brzegu Półwyspu Malajskiego, wojska japońskie zdobyły już Kuala-Lumpur i posuwają się w kierunku na Singapore.

Jak wynika z komunikatów angielskich, Japończycy w swojej ofensywie posiadają ogromną przewagę broni pancernej, oraz w lotnictwie przewagę w stosunku 5 do 1; na skutek ciosu zadanego flocie brytyjskiej, przez zatopienie "Prince of Wales" i "Repulse," Japończycy mają także zupełną swobodę dokonywania operacji desantowych, w miejscach dla nich dogodnych.

Jak dotąd, należy liczyć się w najbliższym czasie z konkretnym zagrożeniem od lądu fortecy morskiej Singapore, która jest pozycją kluczową Imperium Brytyjskiego na Dalekim Wschodzie.

W wojnie z najsłabszym przeciwnikiem, jakim jest Holandia, Japończycy doznali jednak największych strat od holenderskich okrętów podwodnych i lotnictwo; tym nie mniej zdołali oni już osiągnąć cały szereg lokalnych sukcesów w działaniach na wyspach Jawa, Sumatra, Borneo i Celebes, zmuszając Holendrów do niszczenia poważnych zapasów nafty i przede wszystkim kauczuku.

Kampania na Dalekim Wschodzie, trzeba to powiedzieć otwarcie, daleka jest jeszcze od swojego pełnego nasilenia, i opinia brytyjska patrzy na Daleki Wschód z co raz większym niepokojem. Na skutek gwałtownej jej reakcji, zwłaszcza w Australii, otrzymał dymisję dotychczasowy głównodowodzący na Dalekim Wschodzie, marszałek lotnictwa Sir Brooke-Popham oraz został odwołany do Londynu Duff-Cooper.

WSPÓLNE DOWÓDZTWO.

W wyniku rozmów Churchill-Roosevelt, prowadzonych w Waszyngtonie, których tematem były przede wszystkim niepowodzenia na Dalekim Wschodzie, zostało osiągnięte porozumienie co do scentralizowania dowództwa wszystkimi siłami, działającymi w rejonie Malaje-Indie Holenderskie-Filipiny, pod rozkazami jednego z najwybitniejszych generałów angielskich, gen Wavell.

Efekt tej decyzji zaczyna się już odczuwać na polu walki; oto samoloty brytyjskie i amerykańskie, działające z lotnisk Burmy, rozpoczęły co raz intensywniejsze naloty na bazy, lotniska i komunikacje japońskie w Thailand (Sjam), a na granicy Burmy i Thailandu zaczynają się powoli gromadzić większe siły brytyjsko-indyjskie.

Koncentracja ta może w swoim czasie niezmiernie poważnie zagrozić tyłom wojsk japońskich, uwikłanych w walki na wąskim Półwyspie Malajskim i nastawionych jedynie na zdobycie Singapore.

W każdym razie fakt mianowania Wavella oraz długotrwałe rozmowy sztabowe w Waszyngtonie są wyrazem zrozumienia konieczności wspólnego wysiłku i wspólnej strategii w skali międzykontynentalnej i przeciwstawienia się tym samym podobnej metodzie wspólnej strategii niemiecko-włosko-japońskiej.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Na śladach sławy "Orła"

Akurat rok temu, "gdzieś w Anglii", dokonano chrztu nowej jednostki floty wojennej Rzeczypospolitej—okrętu podwodnego "Sokół", by zastąpił na morzach "Orła". Przebywałem wówczas w jednym z angielskich szpitali. Jak wszyscy Polacy, tak i ja na swym "łożu boleści" przyjąłem tę wiadomość z ogromnym entuzjazmem. Pełen radości zacząłem snuć wspomnienia. . . .

Było to dnia 10 lutego 1939 r. I nie "gdzieś", w zakonspirowanym tajemnicą wojskową porcie, lecz w Gdyni, cudownym mieście Polski i największym porcie Bałtyku.

Nastrój panował świąteczny. Nie tylko dlatego, że obchodzono rocznicę odzyskania dostępu do morza, nie tylko dlatego, że był to dzień "imienin"—jak mawiali Gdynianie — polskiej marynarki wojennej, ale bodaj przede wszystkim dlatego, że witano nowy polski okręt podwodny "Orzeł", który w tym dniu po raz pierwszy zawitał do swego macierzystego portu, po opuszczeniu Vlissingen w Holandii, gdzie go skonstruowano.

Właściwie Gdynianie byli przyzwyczajeni do tego rodzaju uroczystości. Kilka miesięcy wcześniej witali kontrtorpedowce "Grom" i "Błyskawica". A jednak "Orła" przyjmowali ze specjalnym sentymentem. Był to przecież pierwszy okręt, zbudowany całkowicie za pieniądze, zebrane dobrowolnie przez społeczeństwo polskie. Oficerowie, podoficerowie i szeregowi armii polskiej oraz najszerszy ogół cywilnych obywateli, zebrawszy ze swych oszczędności, często groszowych, ponad 11 milionów złotych—zademonstrowali, że chcą, aby po polskim Bałtyku pływała silna polska flota wojenna.

Dlatego to tak wielka radość panowała, gdy dnia 10 lutego 1939 r. ujrzano potężną sylwetkę "Orła, cumującego do nabrzeża Południowego w basenie Prezydenta w Gdyni.

Snując dalej wspomnienia, zacząłem sobie przypominać fragmenty okolicznościowego przemówienia, które z okazji przybycia "Orła" wygłosił gen. Kazimierz Sosnkowski, obecny na uroczystości nie tylko jako reprezentant Prezydenta R.P., ale i jako przewodniczący komitetu, który zebrał pieniądze na budowę okrętu.

I słusznie gen. Sosnkowski wówczas podkreślił, że finansując budowę "Orła"—społeczeństwo polskie wyraziło swą wolę panowania nad Bałtykiem i dało niedwuznacznie do zrozumienia, że swych praw nad morzem będzie bronić, gdy zajdzie potrzeba. Słusznie to powiedział, gdyż w niespełna siedem miesięcy później cały naród polski chwycił za broń w obronie swego dostępu do morza.

Ze specjalnym wzruszeniem przypominam sobie, jak gen. Sosnkowski, zwracając się do załogi "Orła", wyraził przypuszczenie, że załoga ta, dumna z tego, iż jej właśnie naród polski powierzył swój okręt — potrafi się chlubnie wyróżnić na morzach. . . .

I wreszcie przypominam sobie każdy moment ze swej wizyty na "Orle", którą mi umożliwiono po zakończeniu części oficjalnej uroczystości. . . .

Oprowadzał mnie por. Piasecki, jeden z bohaterów "Orła". Pamiętam jego rozradowaną twarz i wprost pieszczotliwe słowa, którymi wyjaśniał mi znaczenie skomplikowanych instrumentów nawigacyjnych okrętu. Określając następnie wartość poszczególnych urządzeń "Orła", mój przewodnik wyraził opinię, że z takim okrętem można dokonać cudów. . . .

— "Byczy okręt. Jeszcze kilka takich, a trzymamy Szwabów w garści . . . "—rzucił mi na pożegnanie.

"Na morzach wyróżnił się chlubnie"—jak mu tego życzył gen. Sosnkowski.

"Dokonał prawdziwych cudów"—jak się tego spodziewał por. Piasecki. I niemal że sam przez dłuższy czas "trzymał Szwabów w garści" na Bałtyku, a potem dał im się dotkliwie we znaki na Morzu Północnym, zwanym także "niemieckim".

Dziś już nie ma "Orła." Spełniwszy powierzoną mu przez naród polski misję, zdobywszy nieśmiertelną sławę—odszedł po cichu. "Należy go uważać za straconego"—jak mówi lakoniczny komunikat wojenny Admiralicji.

Przed rokiem na ten temat pisałem:

"Nie ma "Orła." Ale jest jego następca O.R.P. "Sokół," który objął służbę akurat w dwa lata po wejściu "Orła" w skład floty wojennej Rzeczypospolitej i również niemal-że w dniu 10 lutego, dniu święta polskiej marynarki wojennej.

O.R.P. "Sokół" jest następca "Orła." Ma zaś stać się i jego spadkobiercą. A zostać spadkobiercą sławy "Orła," to rzecz niełatwa. Znając jednak wartość polskiego marynarza każdy z nas jest pewny, że O.R.P. "Sokół" podoła swym zadaniom, że również "chlubnie się wyróżni na morzach," że "będzie dokonywać prawdziwych cudów," a "Szwabów będzie trzymać mocno w garści."

Dziś—akurat w rok po dniu, w którym "Sokół" wypłynął na morza, by tam godnie zastąpić "Orła"—dowiadujemy się, że:

"*W październiku i listopadzie roku ubiegłego okręt podwodny Polskiej Marynarki Wojennej "Sokół" dokonał następujących skutecznych ataków na nieprzyjacielskie okręty wojenne i transportowce:*

1 krążownik pomocniczy ponad 5.000 ton, idący w eskorcie konwoju, trafiony torpedą;

1 transportowiec—średniego tonażu, zatopiony ogniem artylerii;

1 duży kontrtorpedowiec—trafiony dwoma torpedami—prawdopodobnie zatopiony;

2 transportowce z konwoju trafione torpedami;

O.R.P. "Sokół" był parokrotnie bezskutecznie atakowany bombami głębinowemi."

A więc nasz nowy okręt podwodny udowodnił już, że jest godnym spadkobiercą nieśmiertelnego "Orła." Marynarze "Sokoła" pokazali, że i oni potrafią "trzymać Szwabów mocno w garści."

Ś.p. Komandor Podporucznik Grudziński, ś.p. Kapitan Piasecki /awansowany pośmiertnie/ i Ich towarzysze mogą spać spokojnie na dnie morza. Otrzymali nowe dowody, iż każdy oficer, podoficer i marynarz Polskiej Marynarki Wojennej, a wraz z nimi także każdy oficer i marynarz polskiej Floty Handlowej godnie Ich zastępują na morzach.

WIESŁAW WALIGÓRSKI

"Parobczańskie" bohaterstwo

Lektura prasy tajnej daje odpowiedź jasną, nie dopuszczającą żadnych wątpliwości, jeśli idzie o poznanie postawy, jaką zajął kraj wobec faktu systematycznego niszczenia inteligencji w Polsce.* Prasa tajna, wydawana przez rozmaite grupy ideowe, zajęła w tej sprawie stanowisko jednomyślne. Tytułem przykładu będę dalej cytował argumentację rozwiniętą w artykule "Będziemy parobkami" pisma "Polska Walczy."** Wybieram ten artykuł, jako typowy; argumentację niemal zupełnie taką samą równie łatwo spotkać w piśmie prawicowym czy lewicowym. Można mówić o pewnym, samorzutnie dokonanym ujednoliceniu poglądów wszystkich polskich grup polityczno - społecznych wobec zagadnienia inteligenckiego w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości życia Polski.

CHLUBNE PRZEZWISKO I PODJĘTE WYZWANIE

Wyzwiska, jakimi obrzucają inteligencję Niemcy, uznaje tajne pismo krajowe za największą chlubę.

"Bo chlubą jest zostać uznanym za największe niebezpieczeństwo przez wroga, niosącego zagładę wszystkiemu, co w narodzie jest najcenniejsze, najbardziej nieprzemijające i wielkie. Inteligencja polska ma być główną zawadą, przeszkadzającą zniszczeniu tych wszystkich wartości."

Pismo tajne uważa słusznie, że obelgę "parobek" pod adresem inteligencji należy przyjąć za "swoje godło i zawołanie."

"Będziemy parobkami, parobkami niepodległości Ojczyzny i wolności świata, parobkami walki o ludzką godność, o sponiewieraną cześć człowieczeństwa, o przywrócenie uczciwości i prawdy w stosunkach między narodami, o zniweczenie monstrualnego kłamstwa, ubierającego zbrodnię i rozbestwienie w togę reformatorów świata i dobroczyńców ludzkości. I kiedy przyjdzie godzina obrachunku, krzepkimi będziemy w tej sprawie parobkami."

Czytając prasę tajną widzi się, że inteligencja krajowa wykazała niezwykłą dojrzałość w obliczu walki i prześladowań. Pogodziła się ona nie tylko z nędzą materialną, koniecznością porzucenia na długo swych ulubionych zajęć, będących treścią dotychczasowego jej życia. Co więcej, uznała i zrozumiała, że od jej wytrzymałości duchowej i nerwowej zależy w dużej mierze ułożenie się stosunków w przyszłej Polsce pomiędzy nią a masą ludową. Przejrzała bowiem, że im lepiej, im godniej, im ofiarniej wytrzyma impet ataku niemieckiego, tym większy szacunek i uznanie dla swojej roli wywalczy sobie u masy ludowej.

Gdy na emigracji, zwłaszcza angielskiej, grupy inteligenckie z trudem wytrzymują próbę czasu tego dziwnego okresu "zbrojnego bezrobocia"—w kraju inteligencja jest na pierwszej linii walki z okupantem. Jest na niej nie tylko z wyniku musu dziejowego, ale w równej mierze, z dobrej, własnej woli i chęci. Nikomu nie przychodzi na myśl, że można się od tej walki uchylić.

JEDNOŚC INTELIGENCJI I LUDU

Nie w obelgach, rzucanych inteligencji polskiej przez okupanta tkwi zło i niebezpieczeństwo.

"Tkwi ono w roli, jaką zaborca stara się wmówić przeciwstawionemu inteligencji ludowi polskiemu. Obelgą bowiem jest opinia, że lud ten zdolny jest pogodzić się z hańbą niewoli i przystosować się do roli niemieckiego knechta." Ta obelga jest tym bardziej niezasłużona, że *"polski lud pracujący ujawnił w chwili zdobycia niepodległości niebywałą prężność swej woli do pełnego życia ludzkiego, narodowego i państwowego."*

Lud ten, świadomy zadań narzucanych mu przez rozwój życia społecznego, dziś nie tylko zdaje sobie sprawę, że musi być kontynuatorem pracy innych warstw, ale sięga ambicjami swymi dalej.

"Lud polski rwie się nie tylko, żeby podjąć te dzieje, ale żeby pokierować nimi, stwarzając w odbudowanej Polsce taki ustrój, który musi dać wszystkim twórczym możliwościom, tkwiącym w masach pracujących najszersze pole dla ich rozkwitu i rozwoju. Jedną zaś z tych możliwości jest wola i potrzeba mas, wydawania spośród siebie pokoleń inteligencji. Lud pracujący, przed którego synami zamyka się drogę do stawania się inteligencją, traci jeden z najważniejszych bodźców i najpiękniejszych celów swego zbiorowego istnienia."

Jeśli idzie o teraźniejszość życia warstwy inteligenckiej kraj, szczególnie jego warstwa robotnicza i chłopska rozumiały, że uderzenie okupanta w inteligencję jest zatratą nie jednej tylko klasy społecznej, ale szkodą wyrządzoną całemu życiu narodowemu, gdyż grozi obniżeniem poziomu cywilizacyjnego życia całego narodu. Warstwa chłopska i robotnicza zdały egzamin dojrzałości dziejowej, opierając się twardo szatańskim podjudzeniom klasowym okupanta.

Nie doceniał on naszej zwartości narodowej, przeliczył się w swej chytrej grze, nie zdołał wygrać przeciwieństw klasowych, zawiódł się w swym spekulowaniu na rożdźwięki pomiędzy wsią a miastem. Polskie warstwy ludowe, niepomne dawnych uraz, krzywd i zaniedbań, natury zarówno gospodarczej, jak politycznej i kulturalnej, w chwili najstraszniejszej katastrofy narodowej, stanęły na wysokości zadania, manifestując swoją pełną solidarność i jedność ponadklasową z prześladowaną inteligencją.

W tajnych pismach krajowych nie ma dziś miejsca na rekryminacje, czy uogólniające zarzuty pod adresem inteligencji, jakie tułają się często w dyskusjach, czy w prasie emigracyjnej. Wręcz przeciwnie, jest pełne uświadomienie sobie i zrozumienie całkowite roli, jaką ta warstwa odgrywała, odgrywa i odgrywać będzie w życiu Polski. Ta postawa współsolidarności z inteligencją nie ma w sobie nic wspólnego z jakimś ślepym idealizowaniem przeszłości tej warstwy, z utajaniem jej wad.

Jeśli warstwy ludowe wykazały w chwili obecnej duży stopień dojrzałości dziejowej, opierając się twardo próbom siania rozdźwięków klasowych przez okupanta—to w świetle tego faktu możemy sobie uświadomić jak daleko posunęło się scementowanie myślowe i uczuciowe narodu. Przecież to jeszcze nie tak dawno, bo w pierwszej połowie XIX wieku zaborcy mogli zapisać na swym koncie udane próby podbechtywania warstwy chłopskiej przeciwko szlachcie. Przecież to jeszcze później, bo z końcem XIX, a nawet z początkiem XX wieku, wiele okolic w samej Polsce centralnej wykazywało słaby stosunkowo stopień uświadomienia narodowego. W tym dzisiejszym przejawie dojrzałości narodowej, poczucia się świadomą częścią narodu, odpowiedzialną za jego los, mieści się niewidoczny, a jakże głęboki osad, wypracowany w pokładach myślenia i odczuwania ludu, rezultat pracy tych ruchów społeczno-politycznych, które z końcem XIX wieku zaczęły co raz głębiej przenikać w życie masy ludowej. Jest to również zasługa polskiej szkoły powszechnej, polskich ruchów oświatowych.

Manifestując swoją wolę odnowy szeregów inteligencji przez dopływ elementów ludowych pismo krajowe jakże słusznie podkreśla, że lud polski w ciągu XIX i XX wieku usiłował ten cel osiągnąć nawet

"za cenę największych wyrzeczeń i wysileń. Drobna już tylko część starszej inteligencji polskiej pochodzi z warstw niegdyś uprzywilejowanych, ziemiańskich lub zamożniejszego mieszczaństwa. W Małopolsce, na Śląsku, w Poznańskim i na Pomorzu od lat blisko pięćdziesięciu, a w dawnym zaborze rosyjskim od lat dwudziestu co najmniej, kadry inteligencji pracującej wypełniane były stopniowo ale stale przez dzieci rzemieślnicze, robotnicze i włościańskie."

RAZEM—"POMŚCIMY, ODBIERZEMY, ODBUDUJEMY"

I tu pismo krajowe dochodzi do najbardziej istotnego punktu, do sedna zagadnienia. Zapoczątkowany w XIX wieku proces odnowy inteligencji przez element ludowy sprawił, że przeciwieństwo:—lud i inteligencja—zostało już przełamane, że nie ma w istocie rzeczy między nią a ludem żadnego faktycznego, organicznego przedziału, że jesteśmy jednym organizmem, choć na różnych poziomach i płaszczyznach wypełniamy swoje zadania życiowe. Przełamanie resztek tego przedziału między tymi dwoma światami dokonało się w chwili obecnej.

"Ta jedność ujawniła się zwłaszcza jaskrawo w czasach obecnej klęski. Przysłowiowa wieża z kości słoniowej, odgradzająca wybranych z ducha od świata pracy, jeśli jeszcze istniał jakiś jej szczątek, prysnęła bezpowrotnie. Stanęliśmy wszyscy jednako nadzy, znieważeni i bosi, twarzą w twarz z wrogiem okrutnym, wyzutym ze czci i wiary. I oto w takich warunkach ujawniło się, że nie potrzeba szumnych słów, mozolnych wysiłków propagandy zjednoczenia narodowego, wzajemnych przekonywań się i poznawań. Najsubtelniejszy inteligent, przebywający w wysokich dziedzinach myśli twórczości duchowej, porozumiewa się z najprostszym oraczem tej ziemi jednym spojrzeniem, gestem, półsłówkiem. Bo tylko jedno mają sobie do powiedzenia: Czekamy. Pomścimy. Odbierzemy swoje. Odbudujemy."

Stwierdzając fakt tej jedności, tak cennej dla całokształtu życia narodowego, powinniśmy zrobić wszelki możliwy wysiłek, by go w Polsce w innych wymiarach nie tylko nie obniżyć, ale spotęgować.

Kraj zaczyna sobie w pełni uświadamiać najgorsze następstwa niemieckiej zbrodni na inteligencji.

"A gdyby Niemcy zdążyli i zdołali nie tylko wygubić inteligencję polską, ale i zatamować na długo możność odrastania tej inteligencji z ludu, to i wtedy jeszcze omylą się w swojej rachubie, że to jest droga do zatraty narodu. Boć i to przecie wiadomo już od wieków, że narodowość przechowuje się właśnie w ludzie, i że żaden naród nie zginął jeszcze przez wygubienie jego warstw wyższych, czy nawet jego inteligencji. Lot jego się obniży, nurt życia stanie się skromny i uproszczony, ale naród przetrwa. A im większy będzie ucisk nad nimi, z tym większą siłą odpręży się i wystrzeli do góry stężoną pod ciśnieniem energią."

PRAWDZIWA INTELIGENCJA

Zdając sobie sprawę z tak potwornych następstw, kraj uświadamia sobie równocześnie, że inteligencja wytrzymuje wspaniale tę najstraszniejszą próbę losu. W ogniu tej próby odpadną od niej te elementy, które łączą się z nią tylko zewnętrznie, z tytułu swej formalnej przynależności. Odpadnie ta "niby inteligencja, która posiada często nawet dyplomy wyższego wykształcenia, nie odznacza się jednak żadną z cech, stanowiących przyrodzone właściwości postawy inteligenckiej." Odpadną "ludzie o dużych pretensjach życiowych, a prawie bez żadnych kwalifikacyj duchowych do odgrywania jakiejkolwiej roli w kształtowaniu kultury i obyczajów narodu." Szczególnie złe elementy polskiej biurokracji "muszą na przyszłość zostać wychowane do całkiem innego pojmowania swych zadań."

Ale te gorsze, nieliczne elementy nie stanowią istoty tej warstwy. Nie może ona być oceniana tylko pod tym fragmentarycznym i jednostronnym punktem widzenia. Jej najistotniejsze zadania leżą w czym innym.

"Każdy naród dąży do tego, by wytworzyć wysokiego gatunku wartości duchowe. Tworzeniem, zachowywaniem i rozpowszechnianiem tych wartości trudni się inteligencja pracująca. Bez tych wartości życie narodu byłoby postne, oschłe i bez wartości dla świata. Byłoby istotnie, tak jak chcą tego nasi wrogowie życiem plemienia pierwotnego i roboczego. W pracy inteligencji naród i wszystkie warstwy poznają same siebie, ona jest ich samowiedzą, ich najwznioślejszym wzlotem ku wartościom nieprzemijającym. Inteligencja wytwarza się spośród wszystkich warstw narodu. W każdej warstwie jest tą częścią, która sobie najlepiej los i zadania tej warstwy uprzytamnia, ale zarazem tą częścią, która ponad interesy warstwy wybiega w interesy bardziej ogólne. Ten charakter inteligencji sprawia, że nie można jej całkiem wtłoczyć w ramy partii czy klasy."

Przytoczone fragmenty z tajnego pisma pozwalają wniknąć w bardzo istotne procesy myślenia kraju. Widać, że zagadnienie roli warstwy inteligenckiej zostało tam przemyślane głęboko i odważnie, nie pod kątem widzenia jakichś klasowych uprzedzeń czy przywilejów, lecz w imię całości interesów narodowych, z myślą o ratowaniu ciągłości historycznej kultury narodu. Jest w tym myśleniu odwaga ludzi stojących w obliczu największego niebezpieczeństwa i świadomych tego, że tym nakazom chwili podporządkowane muszą być wszelkie interesy partykularne czy grupowe.

KU NOWEMU WYCHOWANIU

Podobne procesy przemian myślowych nurtują także wśród polskiej warstwy inteligenckiej, rozsianej w Rosji. Uważny obserwator tamtejszego życia tak ujmuje swe spostrzeżenia:

"Wśród inteligencji widać dużą determinację; nauczyła się przystosowywać do sytuacji, głównie do pracy fizycznej, przede wszystkim młodzież. Głosi się tu pogląd, iż pod tym względem musi się doświadczenia tutejsze zastosować w wychowaniu w Polsce aby inteligencja pozbawiona pracy przy biurku, umiała sobie radzić w trudnych chwilach."

Niemcy ironicznie mówią o "polnische Desperado-Intelligenz." Postawa tej warstwy w kraju i w Rosji najlepiej jednak świadczy, że umie ona wysnuć należyte wnioski z najboleśniejszych nawet doświadczeń.

FAKTY, KTÓRE NAS ZOBOWIĄZUJĄ

Do tej postawy warstwy inteligenckiej w kraju i w Rosji nie dorasta postawa środowiska inteligenckiego w Wielkiej Brytanii. Nie dorasta zarówno w wypowiedziach publicystycznych tych, którzy chcą być rejestratorami i wyrazicielami jej nastrojów, jak jeszcze bardziej w postawie uczuciowej całego środowiska. Tę prawdę należy powiedzieć otwarcie, choćby się ona miała niejednemu nie podobać.

Środowisko to poszło po linii najmniejszego oporu. Wiadomości o wyniszczeniu inteligencji krajowej zaczęto używać jako argumentu, uzasadniającego zamianę całej emigracji walczącej w jeden wielki obóz kształcenia specjalistów. Środowisko to osłabiło w nastrojach klęski francuskiej roku 1940 swą wytrzymałość nerwową i uległo hasłom publicystów, wyzyskujących nieodpowiedzialnie te nastroje. Krzyki o black-oucie kulturalnym, dyskusje na ten temat w książce Ksawerego Pruszyńskiego "Droga wiodła przez Narvik" pozostaną tu niczym niezmazanym dokumentem zatraty instynktu, zatraty poczucia hierarchii i ważności spraw.

Zdrowe, godne poparcia są głosy domagające się wyzyskania czasu, kształcenia się, wzbogacenia wartości, z którymi powinniśmy wrócić do ojczyzny. Ale w świetle tego, co myśli, co czuje i *robi* Kraj trudno uznać skrajne żądania w tym zakresie, trudno nie widzieć zasadniczej sprzeczności między krajem i częścią społeczeństwa która żyje—w o ileż pomyślniejszych warunkach —poza jego granicami. Dziś bowiem naród polski ma tylko dwa środki manifestacji swojej woli trwania: opór kraju i walkę wojska. Pełne urzeczywistnienie najszerzej pojętego hasła kształcenia specjalistów równało by się w praktyce likwidacji wojska, a co zatem idzie, byłoby wytrąceniem z ręki walczącego narodu jednego z głównych środków jego walki. Pomijając już fakt, że kształcenie specjalistów, jeśli ma być pomyślane poważnie, musi trwać całymi latami. Dokonywane szybko, zamienia się w wojenną "namiastkę" bez wielkiej wartości.

Ludziom uczciwym, którzy nie zatracili jeszcze zmysłu hierarchii zjawisk, można spokojnie pozostawić ocenę niewspółmierności, jaka zaczyna się rozwierać między życiem inteligencji w kraju, a myśleniem o formach ratowania inteligencji, jakie się krzewi w Anglii. W kraju każdy inteligent, jak każdy Polak zresztą, jest żołnierzem na froncie walki. Tu zaczyna się co raz częściej krzewić myślenie o zachowaniu. Trzeba odważyć sumiennie, ile w tutejszym krzyku o kształcenie jest myśli o wypełnieniu luk w życiu kraju, a ile samolubnego myślenia o zdobyciu dyplomu.

Trzeba też odważyć należycie konsekwencje, jakie w nastrojach masy ludowej w kraju mogłyby wzbudzić tego rodzaju żądania, sformułowane w chwili największej pożogi dziejowej, jaka ogarnęła glob ziemski. Jeśli postawa grup inteligenckich na emigracji nie dociągnie się do miary życia inteligencji w kraju, to może to w świadomości mas ludowych wywołać uzasadnione wątpliwości, czy warstwa ta jest duchowo dojrzała do wytrzymania różnych prób dziejowych. Było by to rzeczą najgorszą, gdyby niekontrolowane odruchy tutejsze mogły w świadomości mas ludowych przesłonić wspaniały heroizm postawy masy inteligenckiej w kraju.

ADAM ORDĘGA

*) Por. "Tragiczna próba inteligencji polskiej"; druk w nr. 3 "Polski Walczącej".

**) Por. reprodukcję dwu ustępów tego artykułu w tym samym numerze.

ROZKAZ NR. 2

Żołnierze!

Przeprowadziłem inspekcję Polskich Sił Zbrojnych na terenie Rosji i Średniego Wschodu.

Losy wojny zrządziły, że nasz przeciwnik z roku 1939 i 1940 znalazł się w szeregach Aliantów walczących przeciwko tym samym burzycielom świata, którzy w roku 1939 w zdradziecki sposób napadli nasz kraj. Dzięki temu Armia nasza wzrosła kilkakrotnie i wzrasta nadal z dnia na dzień.

Umowa, jaką zawarliśmy z Rosją Sowiecką, przywróciła wolność setkom tysięcy Polaków, a wszystkim znajdującym się wśród nich żołnierzom i obywatelom Polski zdolnym do noszenia broni, przywróciła największe prawo wolnego człowieka—prawo walki z bronią w ręku o wolność Ojczyzny.

Trzy dywizje wypełnili już napływający z powrotem w szeregi Armii Narodowej żołnierze polscy. Wkrótce powstaną nowe wielkie jednostki w Rosji. Ze wzruszeniem przeglądałem karne szeregi wspaniałych żołnierzy naszej Armii, których ducha ani przegrana kampania 1939, ani dwuletni okres niewoli przebytej w najcięższych warunkach—nie potrafiły złamać.

Wierzę, że w niedługim czasie formująca się w Rosji Armia Polska będzie stanowiła jedną z najlepszych części Polskich Sił Zbrojnych, a dzięki swemu duchowi i sile, w dużym stopniu przyczyni się do końcowego zwycięstwa.

Brygada Strzelców Karpackich w ciężkich i długotrwałych walkach w Tobruku, a następnie w ofensywie libijskiej, zdobyła sobie już sławę wojenną, która jej imię uczyniła głośne nie tylko wśród bratnich szeregów alianckich, ale nawet wśród wrogów, z ktorymi walczyła. Bitwa pod Ael Gazala, w której Brygada w ciężkim boju przełamała front nieprzyjaciela, biorąc do niewoli 1.600 jeńców i olbrzymie ilości sprzętu wojennego, jest najpiękniejszym czynem bojowym z wszystkich dotychczasowych walk polskich na obczyźnie. Krew żołnierza polskiego zrosiła piaski Pustyni Libijskiej tak, jak w niedawnym czasie pola bitew we Francji i Norwegii. Nie jest to jednak krew przelana na darmo, gdyż żołnierz Polski, gdziekolwiek walczy, walczy za wolność swego kraju.

Żołnierze! Czeka nas wszystkich jeszcze olbrzymi wysiłek zanim dojdziemy do upragnionego celu i zobaczymy ostatecznie pobitych i upokorzonych naszych wrogów. Wysiłek ten, to nie tylko walka zbrojna, do której rwą się wasze żołnierskie dusze. Poważna część Polskich Sił Zbrojnych jest jeszcze w stadium organizacji lub reorganizacji. Okres ten wymaga dużego zaparcia się siebie, wytężonej pracy nad wyszkoleniem i opanowaniem nowoczesnego sprzętu wojennego, cierpliwości i metodyczności w pracy.

Tego wysiłku dzisiaj od was żądam, gdyż tylko dobrze wyszkolona Armia, która całkowicie opanuje sprzęt i zasady nowoczesnej walki, może wypełnić swe zadanie na polu bitwy.

NACZELNY WÓDZ (—) Sikorski, Generał Broni

Z kampanii libijskiej: Polacy w Tobruku i za Tobrukiem



Górzysta droga do Tobruku

Przyjazd

Około godz. 23 ustało wycie turbin, okręt zwolnił biegu, zatoczył łuk i stanął. Z mostku kapitańskiego padły wesołe słowa "*all right boys!*" Księżyc jakby na zamówienie schował się za chmury. Z prawej burty widać było jakiś bezkształtny, górzysty brzeg i długą zatokę. Byliśmy w Tobruku...

Okręty stanęły daleko od brzegu na kotwicy. W jednej chwili zawrzała gorączkowa praca załogi. Jedni wynosili na pośpiechu z pokładu kolejno barki żywność i amunicję, drudzy mordowali się z wyładowaniem wojska.—To drugie szło im chyba najciężej. Wśród zupełnej ciemności ustawiali na pokładzie okrętu wojsko oddziałami, liczyli i kazali złazić po wysokiej, zwykłej sznurowej drabinie wprost w morze. Dolny koniec drabiny oparty był o podłogę płaskodennej barki. Drobna fala kołysała pieszczotliwie tą nieszczęsną drabiną, okrętem i barką.

Trzeba było złazić wraz z plecakiem, z przynależnościami i karabinem. Jednak i to przeszło szczęśliwie. Żaden żołnierz nie wpadł do wody, ani też żaden karabin czy hełm nie został zagubiony. Ustawiono wszystkich na barce jak zapałki, jeden przy drugim i po 10 minutach stanęliśmy na lądzie w Tobruku.

Tu już znowu coś nowego. Wśród nieprzebitych ciemności, gdzieś daleko widać było błyski ognia, a do uszu dochodził jakby z pod ziemi głuchy grzmot. Chłopaki ustawili się wzdłuż molo, ale już cicho i poważnie. Jeszcze ten i ów pod wrażeniem podróży wyjeżdżał:

—"Józek ty masz pojęcie co by to było..."

—"Stul pysk! Nie słyszysz, że działa grają? To już prawdziwa wojna."

I jakoś porwała ich ta cisza i majestatyczna powaga twierdzy. Gdzieś z ciemności sterczały z morza maszty potopionych okrętów włoskich lub w strzępy porwanych żurawi przeładunkowych, naokoło gruzy miasta, zburzone budynki i leje od bomb wzdłuż drogi. Wszędzie pustka, z każdego kąta, z każdego zakamarka wyzierało zniszczenie i groza. Naokoło za widnokręgiem ciągle błyski i głuchy daleki pomruk dział. I mimo woli niejednemu zrobiło się dziwnie nieswojo. W milczeniu jedne oddziały załadowały się na samochody, inne poszły piechotą gdzieś w pustynię daleko od miasta—na linię.

I tak zaczęło się dla nas inne życie, pełne chwil pięknych i strasznych, wesołych i smutnych —życie żołnierza twarde i bezlitosne. Zamieszkaliśmy w schronach podziemnych, wykutych w skałach lub wygrzebanych w piasku, które miały nam być domem...

* * *

Następnego dnia natychmiast przystąpiono do pracy. Przejmowano od Australijczyków stanowiska i obowiązki, chcąc jak najszybciej wciągnąć się do nowej pracy. Wytężaliśmy wszystkie siły, aby zrozumieć wyjaśnienia i nauki naszych poprzedników.

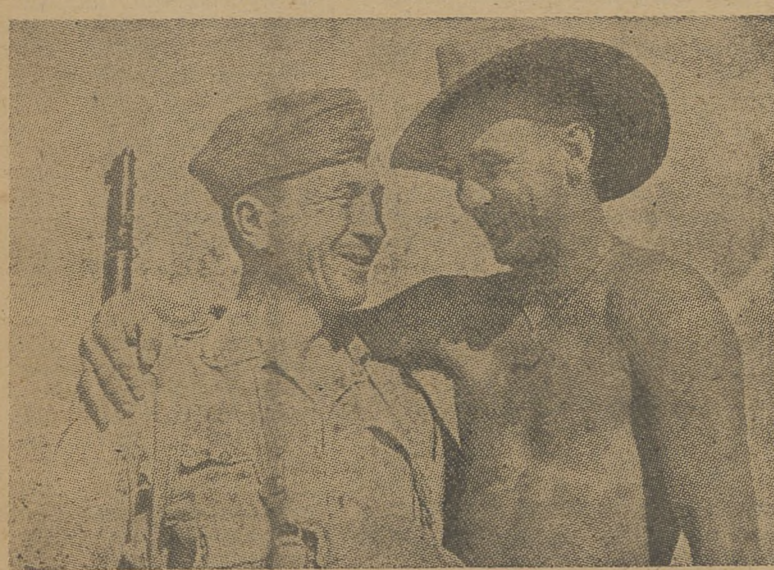
Żołnierz australijski z ogromnym zaciekawieniem patrzał na Polaków. Znał ich już z życia obozowego, nie znał jednak z pola bitwy. Wyczuwał to żołnierz polski. Wiedział, że nie może być od nich gorszy. Zdawał sobie sprawę, że tutaj w Tobruku reprezentuje imię Polski. To też oddziały rywalizowały ze sobą o pierwszeństwo. Pierwszy sukces odniosła artyleria. Już na trzeci czy czwarty dzień Australijczycy z ogromnym podziwem powtarzali wszędzie i każdemu—"*You see? Polish artillery — very, very good*"! —

Nasza artyleria, rzeczywiście przechodziła siebie, strzelali z największą precyzją i wściekłą furią. Meldunki obserwatora raz po razu po każdym prawie strzale obwieszczały: "cel zniszczony." Nasi sprzymierzeńcy oniemieli ze zdziwienia, ba nawet i nasi żołnierze z innych oddziałów podziwiali ich wyszkolenie. I znowu jedni drugich dopingowali, piechota chciała być lepsza od artylerii, a kawaleria chciała zdystansować jednych i drugich. Zaczęły się zawody tak sobie na wesoło, jakby nie było wojny.

Początkowo żołnierz polski wciskał głowę między kamienie podczas nalotów i kłaniał się pociskom, z niepokojem patrzał na pękające granaty, był zły i zdenerwowany. Już po dwuch tygodniach nawet najbardziej . . . nerwowi— nie zwracali zupełnie uwagi, że jest nalot, że w odległości 300 m padają bomby. Padał na ziemię, gdy słyszał gwizd bomby tuż nad sobą lub krótki, ostry, wysoki ton pocisku artyleryjskiego. Wtedy włazł do schronu i kładł.

/" Ku Wolnej Polsce" 24.XII.1941/

TADEUSZ GISGES



Przyjaźń polsko-australijska

Dlaczego w Tobruku?

Z wyjątkiem kilku nieboraków, którzy do Brygady ponoć przypadkiem wstąpili w drodze do Kanady, czy przemysłu—szeregi SBSK to piękny oddział ochotników, którzy dalekie drogi przebyli, by orzełka polskiego dumnie znów na czapce założyć i polskie wojsko choć na obczyźnie odtworzyć.

Cel tego wojska jest inny. Gdy pierwszego września w r. 1939 pułki polskie ruszały do boju, celem było: zniszczyć nacierającą potęgę niemiecką. Dziś nasze zadanie jest takie same, ale zakres naszych możliwości się zmienił. Stan liczbowy obecnego wojska polskiego w granicach Imperium Brytyjskiego nie może ulegać porównaniu z armią niemiecką. Na losy strategii tej wojny, mimo bohaterstwa naszych marynarzy czy lotników, wpłynąć d e c y d u j ą c o nie możemy. Łódź podwodna "Orzeł" zatopiła w czasie ofensywy norweskiej transportowiec niemiecki "Rio de Janeiro" z tysiącem żołnierzy niemieckich na pokładzie. Inne jednak tysiące żołnierzy niemieckich znalazły się na ich miejscu i Norwegia padła. Brygada obecnie jest w Tobruku i broni najważniejszego odcinka obrony twierdzy. Z tego jednak nie wynika, że bez nas odcinek ten byłby nie broniony, że rozstrzygamy zatym o strategicznym rozwoju wypadków na Bliskim Wschodzie.

To jest prawda oczywista i żaden inteligentny żołnierz Brygady nie będzie tego kwestionował—

Gen. Sikorski dekoruje żołnierzy na placówce w Tobruku

choć tego głośno się nie mówi, gdyż żołnierz SBSK jest zadziorzysty i pewny siebie, a gdy jest w kupie to wydaje mu się, żeby całej potędze niemieckiej zdzierżył.

Z tego jednak nie wynika, że powinna być przeprowadzana t.zw. koncepcja "kadrowa" czy "zachowawcza," o której od czasu do czasu się słyszy. Deklamacja takich "osobników" /świadomie używam tego określenia/ wygląda mniej więcej tak: "Ojczyzna będzie nas potrzebować po wojnie. Kraj na nas czeka. Jesteśmy kwiatem Narodu Polskiego i nie mamy prawa narażać go na taką stratę w naszych osobach. My przecież będziemy tworzyć armię polską w kraju." W praktyce marzenia niektórych są jeszcze bardziej proste: przesiedzieć gdzieś na tyłach—ewentualnie z dobrą pensyjką, dużym kotletem na obiad i dziewczynką na sobotę. Gdy słyszałem wywody takiego "osobnika," to świerzbiała mnie ręka. Piszę to w czasie przeszłym, bo "osobnicy" ci przeważnie podekowali się w Egipcie i Palestynie i do Tobruku nie dotarli, wierni swym ideałom na tyłach.

To nie są dla nas "ideały"! Jeśli uparcie, gdyż już trzykrotnie demobilizowany, z równym uporem do W.P. na obczyźnie się zgłaszałem, to nietylko dla zaznania przyjemności turystyki i dalekich podróży, ale bo tak chłodnym rozsadkiem pojęty *interes Państwa Polskiego* mi to nakazywał. O co bowiem chodzi?

Idzie o to, że chociaż polska siła zbrojna nie może decydować o przebiegu wojny, to jednak istnienie polskiej siły zbrojnej ma niezmiernie doniosłe znaczenie polityczne dla Narodu okupowanego i dla odbudowy Państwa Polskiego. Chodzi o to, by ś w i a t u p r z y p o m i n a ć o i s t n i e n i u sprawy polskiej.

Świat, a nawet alianci łatwo mogą zapomnieć o sprzymierzeńcu, który rozpaczliwie bronił Helu, Modlina, Warszawy, tak jak już o polskim aliancie zapomniała Francja Pétaina a przed nią Francja Napoleonów, Francja Jakobinów, czy jeszcze dawniej Ludwika XVII. Nasz sojusznik angielski jest narodem gentlemenów i do danego innemu narodowi słowa przywiązuje większą wagę, niż ktokolwiek inny. Historyczny "*shake hand*" /uścisk dłoni/ Winston Churchilla z naszym Naczelnym Wodzem potwierdził nasz sojusz z rządem Chamberlaina.

Nie mniej trzeba pamiętać, że Anglia jest krajem parlamentarnym. Nie kto inny tylko opinia publiczna Anglii rozstrzygnie o granicach, do których wysiłek angielskiego narodu się posunie, gdy można będzie Państwo Polskie odbudowywać. To nie kto inny tylko opinia zarówno Zjednoczonego Królestwa, jak i Kanady, Australii, Nowej Zelandii rozstrzygnie, czy i ile pancernych, lotniczych i spadochronowych dywizji ma przejść przez Europę, dojść do Krakowa, Lwowa, Wilna, czy do Gdańska, Królewca, czy Polska będzie Polską w granicach 1939, czy Polską o granicach mocarstwowych.

I właśnie polska siła zbrojna na emigracji ma ogromne, przeogromne zadanie do spełnienia. Każdy wyczyn polskiej eskadry 303, polskiego kontrtorpedowca, czy okrętu podwodnego, zdobycie Narviku, czy obrona Tobruku—jest wyrzutem sumienia, który przypomina światu i sprzymierzeńcom, że ma do spłacenia dług wobec Narodu Polskiego. Oczywiście trzeba za przykładem Czechów z ostatniej wojny propagować sprawę polską i wśród szerokiej opinii i w centrach dyspozycji politycznych wielkich demokracji, ale równocześnie musimy pamiętać, że w czasie wojny najsilniej do szarego człowieka ulicy Melbourne, Sydney czy Chicago przemawiają *odgłosy z frontu.*

Celem istnienia polskiej siły zbrojnej na emigracji jest więc nie tyle sama walka; ale walka w warunkach szczególnie przemawiających do opinii anglo-saskiej, możliwie najwięcej propagujących wojsko polskie. Polski lotnik, który uderzeniem śmigła strącał już trzeciego Messerschmidta nad Londynem—zapełniając swym wyczynem szpalty pierwszych stron nowojorskich dzienników—przypadkowo lub świadomie wyczuł właściwą linię postępowania. Lotnik ten może już w tej chwili spoczywa gdzieś na dnie La Manche, nie mniej stokroć lepiej rozumiał i wypełnił swój obowiązek wobec kraju, niż ten który się dekuje. Dobrze rozumiał swój obowiązek rotmistrz Z. gdy w brawurowym już nie natarciu, ale szarży pod Narwikiem tracąc część swej kompanii, zadziwił polską brawurą Francuzów, Anglików i Norwegów. Każdy brawurowy wyczyn Polaków w Tobruku zapełnia przez tydzień audycje angielskiego radia, zajmuje całe szpalty pism.

Tradycję i sławę armii polskiej tworzyło bohaterstwo i poświęcenie. Szarża szwoleżerów Kozietulskiego pod Somosierą rozsławiła na zawsze naszą Ojczyznę.

Również i teraz biedny nasz, katowany przez długie miesiące Kraj oczekuje od nas l e g e n d y. My, którzy nie stanowimy żadnej elity Narodu polskiego, ale jesteśmy przypadkową emigracją, nie mamy moralnego prawa uchylać się od poświęcenia osobistego w chwili, gdy cały Naród tak ciężko cierpi. I tak los bardzo nas wyróżnił: zamiast ginąć jak tysiące naszych braci poniewieranych w kaźniach obozów koncentracyjnych, mamy możność wykazania żołnierskiego poświęcenia, męstwa i bohaterstwa na polu bitwy.

/" Przy kierownicy w Tobruku," nr. 2-3/

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI



Msza św. na stanowisku artylerii polskiej w Tobruku. Kapelan odprawiał nabożeństwo każdego dnia na innym wysuniętym stanowisku odcinka zajmowanego przez Polaków

Patrol pustynny

Zadanie krótkie i jasne: w pole minowe nieprzyjaciela—zaobserwować ruch jego ubezpieczeń. Siła patrolu siedmiu ludzi. Jasne? Odmaszerować!

Dziewiczy patrol w Tobruku. Przygotowuję ludzi i przygotowuje siebie. Straciłem zwykły spokój. Nie czuję strachu, ale tremę jak przed egzaminem. Nieznany "*no mans land*" nęci, pociąga, a jednocześnie napawa niepokojem. Co będzie?

Śmierć to głupstwo—byle szybka. Rana—to już gorzej.

Wieczór nadchodzi, czas się ubierać.

Przed zmierzchem ruszamy do najdalej wysuniętej wprzód drużyny. Zdaje się, że dostrzegł nas obserwator artyleryjski, bo za chwilę kilkanaście pocisków ląduje ze świstem za nami.

Okładka 2-3-go numeru pisma frontowego "Przy kierownicy w Tobruku." Numer ten wydany z okazji pobytu N. Wodza liczy 38 stron, odbito go na papierze zdobytym na Włochach. Stanowi niezwykły, bezpośredni dokument ducha ożywiającego oddziały polskie walczące w Libii

Dreszczyk emocji, padnij i biegem. Druga seria zastaje nas już w rowach. Diabła zjecie, makarony!

Za chwilę zmrok zapada i razem z czujką wychodzimy na przedpole. Nie jest to tak łatwe i bezpieczne, a zwłaszcza w nocy. Własne miny i pułapki są równie groźne jak nieprzyjacielskie.

Opuszczamy czujkę i ogarnia nas pustynia. Maszerujemy według określonego z góry kąta. Trzeba uważać, bo nic łatwiejszego jak zbłądzić w pustyni, zwłaszcza w nocy. Choć niebo wysrebrzone gwiazdami, ciemno, że oko wykol. Leżąc na ziemi można zobaczyć człowieka dopiero na dziesięć metrów, przez lornetkę na trzydzieści metrów. Leżącego w ogóle nie zobaczy. Pustynia gładka jak stół, pokryta jest kępami burzanów, które trzeba ostrożnie wymijać, by nie czynić hałasu. Na polu panuje przeraźliwa cisza. Poprzednia emocja zginęła bez śladu: każdy zamienił się we wzrok i słuch.

Stąpamy jak cienie. co pewien okres dowódca przysiada na chwilę i cały patrol, który bez słowa wykonuje jego ruchy—obserwują. Bo tylko leżąc można coś zobaczyć. Oczy chciałyby przedrzeć zasłonę ciemności, uszy aż bolą od natężenia. Cisza. Po godzinie takiego marszu zaczynamy zwalniać. Gdzieś przed nami rozciąga się pole minowe. Biada temu, kto nieostrożnie tam wlezie.

Niektóre miny mają śmieszne nazwy. *Aussies*, nasi przyjaciele, lubią się śmiać z niebezpiecznych rzeczy. Mina sama jednak nie jest śmieszna i nie do śmiechu jest temu, kto na nią nieostrożnie wlezie. Zdradzić je może jedynie trochę ciemniejsza plama zruszanej ziemi. Wolniutko posuwamy się na przód, macając ostrożnie każdą napotkaną plamkę. Jest. Oddycham z ulgą. Rozpoznane pole minowe nie jest już dla nas niebezpieczne. Wymacujemy przejście między minami i ruszamy dalej. Droga daleka, a noc ma też swą granicę. Niestety niedługo trwa cisza.

Gdzieś na lewo od nas nieprzyjaciel rozpoczyna bombardowanie. Lotnik zrzucił rakiety oświetlające na spadochronach i widno, prawie jak w dzień. Wszelki ruch wykluczony. Czekamy około pół godziny na koniec tej zabawy i wreszcie w szyję między stanowiskami włoskimi. Czuj duch! Gdzieś daleko na zachód świeci reflektor i zaczyna strzelać artyleria. Nagle blisko nas z prawej strony wylatuje oświetlająca rakieta. Walimy się na ziemię i rozpłaszczeni—czekamy. Nic. Można iść dalej.

Dekoracja na odcinku

Zmieniamy kierunek idąc teraz na tyły stanowisk włoskich. Niestety znowu rakieta i jakiś karabin maszynowy zaczyna trajkotać. Za chwilę dołącza drugi, piąty, ósmy, moździerz, artyleria i wojna na całego. Całe szczęście—strzelają nie na nas. Prawdopodobnie strzelają nawet bez powodu, a dla dodania sobie odwagi. Włosi czynią to dość często. Już to rzymskiego spokoju u nich nie widać. Jedyna nieprzyjemna rzecz, że ich pociski także trafiają. Czasami, ale trafiają.

Piekło trwa pół godziny i wszystko cichnie. Tylko od czasu do czasu biała rakieta leci do góry i oświetla zda się martwą pustynię. Gdzieś z tyłu za nami słychać gwizdek, który elektryzuje wszystkich. I cisza znowu. Idziemy co raz ostrożniej. O, bo teraz to już nie przelewki.

Zbliżamy się do stanowisk włoskich od tyłu. Oczy znowu śledzą bacznie za minami. Mam szczęście. Nie dlatego, że dostrzegłem minę, lecz że jej nie nadepnąłem. Przekroczyłem już bowiem trzy czwarte pola minowego.

Przystępujemy do naszego zadania: wyjęcia i rozbrojenia miny. Pole minowe jest założone niedawno i nie wiemy, jakich min nieprzyjaciel użył na tym odcinku. Ostrożne odgrzebywanie miny. Mina gotowa do wyjęcia. Ryzyko jest duże, ale polska chytrość znalazła i na to sposób. Zawczasu przygotowaliśmy sobie drut, przy pomocy którego wyciągamy teraz ten wymysł ludzkiej złośliwości. Nie wybucha. Wykręcam zapalnik.

Czas najwyższy, że załatwiliśmy te czynności, bo znów piekło wybucha przed nami. Strzela kto może i ile może. Siedzimy cichutko i tylko notujemy, gdzie i co strzela. Zadanie będzie wykonane w stu pro-



Polski pilot, walczący w pustyni Zachodniej. Według "British Official Photograph" ma 40 lat i ostatnio trzy razy celnie zbombardował kolumny npl.

centach. Siedzimy tak dwie godziny. Widowisko równie interesujące jak film. Tylko role aktorskie diablo odmienne. Wreszcie czas wracać. Odbywamy mozolną drogę powrotną. Nie jest ona wcale łatwiejsza od poprzedniej, a tymczasem zmęczenie zaczyna brać górę nad nami. Jakiś daleki karabin maszynowy strzela w naszą stronę.

Czekamy jeszcze chwilę. Może się uda złapać wracający patrol włoski. Zdaje się jednak, że moglibyśmy tak czekać do końca wojny. Mussolini na patrole nie chodzi.

Im bliżej własnych rowów, tym lepszy humor ogarnia bractwo. Udało się. Dobrze, że to już koniec. Czołowe ubezpieczenia przeprowadzają nas przez druty i miny; wreszcie mamy okazję odsapnięcia. Chwila odpoczynku i marsz do swego rejonu. Pozostaje do przebycia jeszcze własne pole minowe. Zmęczone oczy nie widzą już dobrze, i o tym, że już przeszliśmy bezwiednie własne miny dowiadujemy się dopiero w kompanii.

/" Przy kierownicy w Tobruku," nr. 2-3/

FELICJAN PAWLAK

Pod Gazalą

Przypatrywałem się Polakom wczoraj wieczorem w czasie ich wielkiego ataku. Było to w bitwie o Gazalę, na drodze do Bomby. Znajdowały się tam także oddziały brytyjskie, hinduskie i nowozelandzkie. Polakom przypadł honor prowadzenia ataku z centrum w kierunku północno-zachodnim—ku wybrzeżu.

Wypadli oni z Tobruku, niosąc wszystko ze sobą. Obsadzili stare, sterane już wojną wozy i działa, odziedziczone po załodze australijskiej. Mieli nadto zdobyte na Niemcach auta służbowe, ciężarówki wojskowe a żywili się odebranym Niemcom chlebem, mięsem i ogórkami. Na niektórych pojazdach widniały "Kookaburra," na niektórych swastyki a na niektórych godła polskie. Mieli siedem różnych odmian karabinów maszynowych.

A teraz wezwano ich, aby pod przywództwem generała Kopańskiego, człowieka niepozornego, drobnego, o jednym chorym oku i fantastycznej historii — poprowadzili wszystkich sprzymierzonych wzdłuż wybrzeża. Po trzymiesięcznym zamknięciu w Tobruku była to pierwsza ich szansa ruszenia na przód i uderzenia w otwartym polu.

Widziałem Kopańskiego po raz pierwszy, gdy przyjechałem na front. Na ramionach miał srebrne odznaki, szkła polowe przewieszone przez szyję i powiewała nad nim białoczerwona polska flaga zatknięta na wozie.

—"Przybył Pan w samą porę" —powiedział.

—"Zaczynamy za dziesięć minut." Była wówczas punktualnie trzecia popołudniu.

Zaczęli już kłaść zaporę ogniową z trzech baterii, ustawionych za nami i każdemu słowu towarzyszył świst pocisków i ciągły huk armat. Przed nami, z prawej i lewej strony na przestrzeni usianej wydmami i ciernistymi krzewami zaczynały wchodzić do akcji dwa bataliony piechoty. Żołnierze ci znajdowali się zaledwie o parę jardów od nas; była to długa linia głów i sylwetek skaczących wzdłuż horyzontu.

Artyleria przeciwczołgowa szalała na ich lewym skrzydle w kierunku "ziemi niczyjej." Nieprzyjaciel znajdujący się w odległości mniej więcej jednej mili, kładł zaporę ogniową w kierunku tych wśród krzaków pełzających Polaków. Potężny podmuch wiatru podniósł się prosto z morza i z niepowstrzymaną siłą pędził przez pustynię. Przeniknął nas dreszcz.

Zbliżył się do nas polski szef sztabu, mówiący po angielsku.

—"To miła odmiana dla chłopców" — powiedział zupełnie poważnie i z entuzjazmem—"To przyjemność dla nich być w otwartym polu po tym całym okresie zamknięcia w Tobruku."

Była teraz trzecia dziesięć popołudniu. Żołnierze podnieśli się i ruszyli w stronę wroga spokojnie i równym krokiem. Na linii ciągnącej się przez dwie mile wzdłuż widnokręgu mieliśmy przed sobą pasmo małych, czarnych sylwetek, które w miarę oddalania się co raz bardziej się zmniejszały.

Za nimi podniosły się z ziemi kompanie rezerwy i także powoli zniknęły nam z oczu. W chwili, gdy ostatni żołnierz zsunął się za wzniesioną linię horyzontu i pociski armatnie ciągle jeszcze huczały z przodu i z tyłu,—rozległ się ostry jazgot karabinów maszynowych. Nawiązaliśmy kontakt z nieprzyjacielem.

Szef Sztabu stojący obok nas dawał nam stały komentarz do bitwy, która przebiegała w następujący sposób:

—"Chłopcy nie natrafili jeszcze na silny opór, bo inaczej musieliby przypaść do ziemi. Po lewej stronie idą nasze działka przeciwpancerne. Są one tuż przed piechotą. Dobre to działka; zresztą wszystkie nasze armaty przemieniają się na działka przeciwpancerne jeśli natrafiamy na czołgi. Mamy dwa cele—wskazał nam na mapie dwa punkty na zewnątrz Gazali —i jeśli dojdziemy tam przed żmierzchem, to będzie to rzecz znacząca. Chcemy oczyścić to wzgórze od artylerii nieprzyjacielskiej. To robota, którą nasi chłopcy potrafią dobrze wykonać. Widzi Pan, tam po prawej stronie te strzały armatnie, to Nowozelandczycy, którzy przychodzą nam z pomocą. Rozumiemy się doskonale z Nowozelandczykami. Nasz generał i ich dziś rano dokładnie omówili tę sprawę. Nie—dodał spokojnie, w chwili, gdy niemiecki samolot wyłonił się z niskich chmur i skierował się na nas, a ja poruszyłem się, aby szukać schronu—niech się pan nie rusza: to tylko ściągnie na Pana uwagę."

Chłopcy byli teraz w najgorętszej walce. Nie widzieliśmy już niczego, tylko słyszeliśmy odgłosy bitwy. Podszedłem z oficerem, z którym rok temu, na polskiej rewii wojskowej w Aleksandrii piłem wódkę—do centrali strzelniczej artylerii. Wewnątrz namiotu artyleryjskiego telefony pracowały gorączkowo — rozmowy szły do punktów obserwacyjnych na samym froncie, i w tył do baterii. Wydłużaliśmy nasz ogień, a to miało jednoznaczną wymowę—pędziliśmy wroga przed sobą, wdzieraliśmy się w jego linie.

Ustawał ogień armat, zaczął się natężać ogień karabinów maszynowych, odezwały się karabiny ręczne, rozległy się detonacje granatów ręcznych i w końcu zaczęła się walka na bagnety. Jeśli chłopcom właśnie o to chodziło, to można powiedzieć, że powiodło im się rzeczywiście.

Gdy zapadła noc i zbieraliśmy się do powrotu, aby odwiedzić inne punkty ataku zaczęło się długie trzaskanie obcasami, ściskanie rąk i salutowanie. Myślę, że bez względu na to jakieby krzywdy Niemcy zadawali Polsce, nic nie jest w stanie złamać wspaniałej odwagi tych żołnierzy.

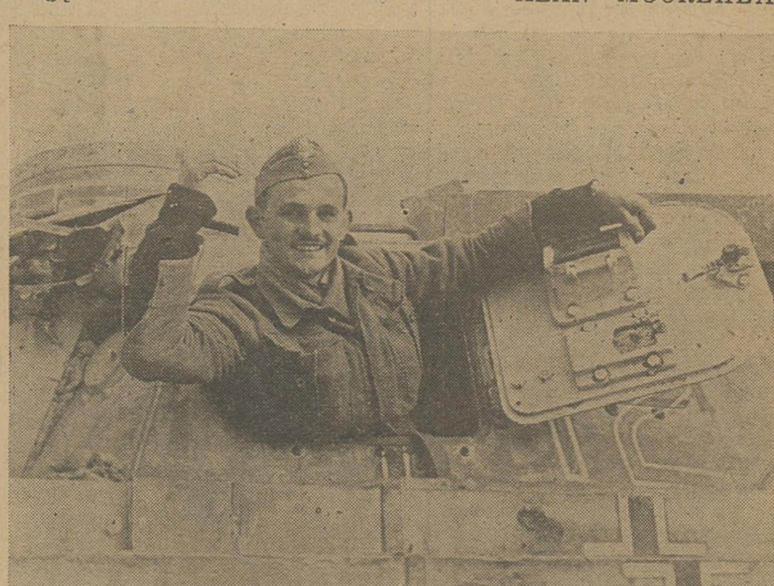
W chwili mego odjazdu ich biało-czerwona flaga parła ciągle na przód.

/" Egyptian Mail," Cairo, 18.XII.41./

ALAN MOOREHEAD



Na pozycji ogniowej /na hełmie pierwszego żołnierza widoczny wyraźnie orzełek polski/



Żołnierz polski w zdobytym czołgu niemieckim



Żołnierze wojsk osi wzięci do niewoli przez Polaków

Wojna na morzu

SINGAPORE BEZPOŚREDNIO ZAGROŻONE

W chwili, gdy piszę te słowa, należy uznać, że ważna baza sprzymierzonych Singapore jest już bezpośrednio zagrożona od strony lądu. Trudno bawić się w proroka jak długo i w jaki sposób Singapore będzie bronione. Należy stwierdzić tylko raz jeszcze, że ewentualna strata tej bazy i jej znakomicie urządzonych doków byłaby stratą olbrzymią i zmusiłaby do całkowitej zmiany systemu walki na Oceanie Spokojnym.

Admirał U.S.A. Hart — głównodowodzący flotami sprzymierzonymi na Oceanie Spokojnym spotkał się z generałem Wavell'em na Jawie i tam zdaje się obaj wodzowie obrali sobie kwaterę główną. Wygląda więc na to, że Singapore będzie bronione do ostatka. Istnieje wiele głosów, że tę bazę uratować mogą natychmiastowe dwa posunięcia: 1) rozpoczęcie energicznej kontrofensywy od strony Birmy i 2) zdecydowana akcja morsko-lotnicza, ofensywna oczywiście. Przekonania te wygłaszają specjalnie dobitnie Australijczycy, których rząd i prasa jawnie biją na alarm, dowodząc, że traktowanie frontu Oceanu Spokojnego jako frontu drugoplanowego zemści się w sposób straszliwy.

Ciekawa jest natomiast, w zestawieniu z głosami Australii, mowa pułkownika Knoxa w Washingtonie. Sekretarz Stanu amerykańskiej Marynarki Wojennej oświadczył bez ogródek, że dla "sprawy zwycięstwa" najważniejszy jest obecnie "front atlantycki i jak najszybsze pokonanie głównego wroga ludzkości —Niemiec." Nie odmawiając słuszności twierdzeniu pułkownika Knoxa, trudno nie wyrazić obawy, że jednak utrata Singapore może przysporzyć sprzymierzonym olbrzymich kłopotów i stworzyć taką sytuację na Oceanach Spokojnym i Indyjskim, że to odbije się poważnie nie tylko w Libii, Egipcie i w Małej Azji ale i na . . . Atlantyku.

FILIPINY, AMERYKANIE I HOLENDRZY

Dzięki temu, że skały Corregidor bronią się, a generał amerykański Mac Arthur, po opuszczeniu Manili, dzielnie "odgryza" się w górach wyspy Luzon, wielkie siły japońskie, lądowe i morskie, wciąż są związane na Filipinach i sprzymierzeni nadal zyskują cenny czas na "przegrupowywania," których rezultat jest niecierpliwie oczekiwany.

Amerykanie nie rozpoczęli, jak dotąd, żadnej akcji na większą skalę. Ostatni komunikat Departamentu Morskiego U.S.A. donosi o zatopieniu przez okręty U.S.A. 5 większych transportowców japońskich "na wodach Dalekiego Wschodu" z wojskiem i materiałami. "Poza tym nic szczególnego nie ma do zanotowania."

Więcej mają "do zanotowania" Holendrzy, którzy pod Tarakan przy wybrzeżu Borneo zatopili ogniem dział przybrzeżnych 2 japońskie kontrtorpedowce i ciężko uszkodzili krążownik. Holenderskie samoloty trafiły i prawdopodobnie poważnie uszkodziły japoński okręt liniowy przy wyspie Celebes. Holenderskie okręty podwodne kilkakrotnie przypuszczały ataki na transporty wojsk japońskich, idące na Malaje i na Filipiny, zatapiając i uszkadzając "większą ilość statków." Dzielna, mała Marynarka Wojenna Holendrów i ich lotnictwo morskie spisują się doskonale.

MORZE ŚRÓDZIEMNE I MALTA

Brytyjska blokada Trypolitanii jest na tyle skuteczna, że o jakichś poważniejszych posiłkach dla generała Rommla dotąd nie słychać. Niemcy i Włosi natomiast rozwinęli kontrofensywę lotniczą, która specjalnie odbija się na Malcie. Dzielna ta wyspa wytrzymuje ze stoicyzmem i wyjątkową odwagą takie bombardowania, jak na przykład w słynną środę 14 stycznia, gdy w ciągu 24 godzin było 17 gwałtownych nalotów bombowych, przeprowadzanych z dużą bezwzględnością.

Jednakże, spodziewane przez sprzymierzonych wyjście floty włoskiej na otwarte morze nie nastąpiło. Benito woli trzymać swoją nadszarpniętą armadę w portach i nie ryzykować. Większość roboty oddał niemieckim okrętom podwodnym, które zjawiły się masowo na Morzu Śródziemnym, co łączy się ze znacznym osłabieniem akcji podwodnej na Atlantyku. Ze swej strony okręty podwodne sprzymierzonych nie próżnują bynajmniej.

SUKCESY NASZEGO O.R.P. "SOKÓŁ"

Nasz "Sokół" dał tego twierdzenia piękny dowód. Według komunikatu oficjalnego Kier. Mar. Woj. w ciągu października i listopada 1941 r. zaatakował i trafił następujące okręty i statki nieprzyjacielskie: 1 krążownik pomocniczy—z górą 5.000 tonn—idący w eskorcie konwoju (trafiony torpedą), 1 transportowiec — średniego tonażu — /zatopiony ogniem artylerii/, 1 duży kontrtorpedowiec—trafiony torpedami — prawdopodobnie zatopiony, 2 transportowce w konwoju—trafione torpedami.

Podczas tych działań "Sokół" niejednokrotnie atakowany był bombami głębinowymi.

KONTRTORPEDOWCE POLSKIE NA LOFOTACH

Admirał brytyjski, dowodzący wypadem na Lofoty (podczas Świąt Bożego Narodzenia i na Nowy Rok) przesłał na ręce Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej podziękowanie za udział naszych k.t. w tej akcji. Jak zwykle okręty nasze spisały się dzielnie.

KŁAMSTWA NIEMIECKIE

Jak niemiecka propaganda zakłamana jest aż do absurdu widać z ciekawych zestawień, które ogłosiła prasa amerykańska i angielska. Otóż w chwili wybuchu wojny, jak wiadomo, Wielka Brytania rozporządzała:

15 okrętami liniowymi,
7 lotniskowcami,
62 krążownikami,
185 kontrtorpedowcami i
58 okrętami podwodnymi.

Tymczasem, jeżeli zliczyć sumarycznie to, co propaganda niemiecka "zatopiła" Brytyjczykom podczas wojny, wypadną cyfry wręcz humorystyczne. A więc, według Niemców, Wielka Brytania "straciła" dotąd:

44 ckręty liniowe,
20 lotniskowców,
156 krążowników,
183 kontrtorpedowce i
95 okrętów podwodnych.

"Szkoda, że nie mieliśmy nigdy tak potężnej floty"—pisze ironicznie jeden z dziennikarzy angielskich. "Zablokowalibyśmy bowiem taką siłą Niemcy, że już oddawna nie byłoby z nimi kłopotu".

ZABAWNE "NIEPOROZUMIENIE"

Pomimo, że Polska Marynarka Wojenna istnieje już 22 lata, nie tylko "cywile", ale i wojskowi jakoś nie mogą nauczyć się rozróżniać odznak i stopni oficerów i podoficerów Marynarki. Słusznie boleją nad tym marynarze. Na "pocieszenie" jednak można przytoczyć zabawny fakt z życia tak morskiego narodu, jakim są Anglicy, opisany w liście pewnego "*Naval Lieutenant*" (porucznika marynarki) do redakcji *The Daily Telegraph.*

"Szanowny Panie Redaktorze —pisze ów por. mar. brytyjskiej — Gdy stałem, ubrany w swój mundur, w hallu pewnego hotelu, podszedł do mnie jakiś kapitan wojska i . . . polecił mi wezwać taksówkę. Najwidoczniej wziął mnie za portiera hotelowego. Powiedziałem wówczas: "*Yes, sir*", i zadzwoniłem po taksówkę, za co zostałem obdarowany monetą sześciopensową.

Może pan sobie wyobrazić, panie redaktorze, kolor twarzy tego kapitana, gdy następnie zaproponowałem mu, aby napił się "jednego" z oficerem marynarki wojennej, który przed nim stoi. Czerwony był jak piwonia.

Oficerowie morscy brani są za naczelników stacji i posłańców przez naiwne starsze panie i roztrzepanych pieczeniarzy, ale nie można znaleść usprawiedliwienia dla wojskowego, noszącego trzy gwiazdki na ramieniu, po dwóch z górą latach wojny. Tym bardziej, że według brytyjskiego regulaminu, porucznik marynarki nie tylko jest równy stopniem kapitanowi wojska, lecz jest starszy, służąc w rodzaju sił zbrojnych, posiadających wyższe starszeństwo (*Senior Service*).

Wypadek ten ma swój morał. Dla tego pozwalam go sobie podać do wiadomości publicznej i proszę pana redaktora o . . . i t.d."

"podpisane: Porucznik Marynarki Wojennej XY"

Londyn 17 stycznia 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Bez black-outu

Całkiem poważnie zanosi się na to, że nasz przymusowy, tragiczny "half-holiday" na tej gościnnej wyspie, nie będzie trwał tak długo, jak głosiły niektóre przepowiednie wybitnych pesymistów. Nie dlatego, żeby tak chciał Mahomet al Hariri, albo inny wróżbita wojny obecnej. Nie dlatego. Tylko po prostu dokonują się przemiany wojenne gwałtowne i niespodziewane, które obalają proroków, rozbijają w puch stos przepowiedni, przekreślają nasze najśmielsze przypuszczenia.

Niewątpliwie trzeba z tego wyciągnąć dla nas konkretne wnioski. Sytuacja bowiem może stać się paradoksalna: to, na co tak długo czekaliśmy, to co było i jest tak odległe, tak nierzeczywiste—może nas realnie zaskoczyć. W tej wojnie zaskakiwano nas już nieraz. Przeważnie zaskakiwało nas nieszczęście. Nie dajmy się zaskoczyć . . . szczęściu. Do tej pory mówiło się: "Ja myślę, że w 1944," lub "A ja panu mówię, że pod jesień 1945"—i tak w nieskończoność. Przestańmy rachować na lata, przejdźmy na miesiące.

Możemy doznać rozczarowania —to prawda. Ale o ile więcej wart będzie każdy nasz dzień, przeżywany przy tej kalkulacji miesięcy, nie lat. Każde ćwiczenia /czasem za dużo ich teraz, czasem wydają się bez celu/ nabiorą realnych barw, każda codzienna nasza praca zapłonie rumieńcem rzeczywistości, zbliżającej się rzetelnej okazji do zużytkowania naszych umiejętności, naszych nabytych doświadczeń, naszej wprawy. Przechodząc na obliczenia miesięczne mówimy teraz n.p. "październik lub listopad" /dawniej 1944 i 1945/ tylko nie mówcie, że . . . w maju, bo wtedy pesymiści, którym obecnie na szczęście trochę brakuje tematu, będą mieli łatwą okazję do kpin.

Powie ktoś, że działam szkodliwie /dziś tak łatwo się to mówi a jeszcze łatwiej . . . szkodzi/, powie ktoś, że krzewię niezdrowy optymizm. Czy to jest jednak optymizm? Właściwie nie. Powiem, że to raczej przewidywanie. Serce mocniej drży w takim momencie—boję się napisać—ale to przewidywanie . . . p o w r o t u. Pamiętacie jak długo oswajaliśmy się z myślą koszmarną i trapiącą, z myślą o wygnaniu, o rozłące, o latach bez ojczyzny i domu?

Teraz—bijmy się w piersi—lata zrobiły swoje. Ten i ów oswoił się, ten i ów życie tutaj jakoś połatał, inny mniej lub więcej lekkomyślnie założył nowy dom. Czy nie pora zacząć w takim właśnie momencie drugi, odwrotny etap marszu naszych myśli, w przeciwnym kierunku ścieżki, która z Polski wysz a i do Polski nas zaprowadzi? Musimy powoli oswajać się z myślą powrotu. To paradoks—ktoś powie. A jednak . . .

Spójrzmy śmiało prawdzie w oczy. Czy wszyscy jesteśmy gotowi na tę chwilę? Gdyby tak udało się porozmawiać z każdym z Polaków na tej wyspie z osobna, w cztery oczy, to okazało by się, że pełna świadomość realnej możliwości powrotu, równa się uczuciu chłopca przed przystąpieniem do pierwszej spowiedzi, równa się uczuciom młodzieńca w dniu poprzedzającym zawarcie małżeńskiego związku . . .

Rozmaite są tego stanu przyczyny: jedne bardzo uczuciowe i głębokie, drugie bardzo pospolite i płytkie. W jednych tętni tłumiona latami tęsknota, znaczona śladami łez, w drugich drży lęk, płynący ze świadomości niespełnienia obowiązku, lub co gorzej przekroczenia pewnych praw moralnych, wyrządzonych krzywd sprawie polskiej, sprawie żołnierskiej lub społecznej. Wtedy, aby przygłuszyć własne sumienie, niektórzy z nas wyciągają kalendarzowe proroctwa, karteczki z wróżbami i wołają pośpiesznie: "Jeszcze nie tak prędko, najwcześniej 1945 lub nawet 1946 . . . Ameryka w 1947 będzie miała 10 milionów automatycznych samolotów . . ." Bądźcie pewni, że tacy spośród nas nie mówią w imieniu Ameryki, tylko po prostu głusząc głos sumienia, odraczają na własny rachunek myśl powrotu.

P o w r ó t—dziwnie mi nawet napisać to słowo, takie na pozór łatwe: 6 prostych liter, a przecież trzeba napisać, trzeba je wyryć głęboko w sercu i nieść na co dzień jako zawołanie, jako hasło naszego obowiązku. Szczęście może nas zaskoczyć . . . W jaki sposób? Bardzo prosty: Może to być zwyczajny dzień: wtorek lub piątek /to nie przepowiednia, nie!/ powszedni polski dzień na brytyjskiej wyspie. Pan kapitan będzie jak czasem chmurny i tajemniczy, pan porucznik będzie wymyślał po raz sześćdziesiąty w tym miesiącu ćwiczenia z założeniem odparcia desantu nieprzyjacielskiego na trawie szkockiego zagajnika, pan szef będzie zrzędził na niedopięte kołnierze, a pan plutonowy będzie urządzał swoje tradycyjne zbiórki w dwuszeregu . . . Gdzieś znowu w innym, miłym zakątku tej wyspy, pan Żółciak-Zalewajski będzie polemizował z panem Intrygo-Kombinalskim na temat: "jak ma wyglądać przyszła Polska" — i w ów czas . . . w ten dzień powszedni uderzy grom: przyjdzie wieść, przecinająca błyskawicą zaciemniony horyzont Europy. Jasność oślepi nieprzygotowanych, grom porazi zaskoczonych nadmiarem szczęścia.

Stać będą tylko twardo wpatrzeni śmiało w tę błyskawicę, wsłuchani w ten grom ci, którzy słowo: POWRÓT wypiszą w sercu już dziś, by pod tym znakiem wypełniać uczciwie codzienną swoją pracę. Tym ludziom nie sprawdzi się żadna przepowiednia, oni tylko po prostu z serca przeniosą to słowo na usta i wyszepcą jak dziękczynną modlitwę, by z podniesionym czołem, godnie wyjść szczęściu na spotkanie.

Można ten dzień wyobrazić sobie tak czy inaczej, ale napewno przyjdzie niespodziewanie. Nie twierdzę, że przyjdzie łatwo. Napewno przeżyjemy jeszcze niejedną ciężką próbę, niejedno zmaganie /to wydaje się nawet konieczne!/, ale moment przełomowy, moment decydujący może zaskoczyć nas w dniu poprzednim skłóconych, rozgadanych ponad miarę, snujących plany na długie lata wojenne, przeszkadzających sobie na wzajem w tej, i tak trudnej, na tym terenie pracy.

Bo też we wzajemnym przeszkadzaniu jesteśmy chyba mistrzami. Rozmawiałem niedawno z bardzo poważnie i uczciwie pracującym człowiekiem na dość odpowiedzialnym stanowisku; wyznał mi on z boleścią i niechęcią: "Obecnie 50% mojej energii w ciągu dnia tracę na usuwanie przeszkód, mnożonych przez rodaków, 25% czasu mojej pracy poświęcam na odrzucanie kłód, ciskanych mi pod nogi, 15% na biurokrację i papierki, tak, że na właściwą moją pracę, robotę twórczą i pożyteczną pozostaje mi zaledwie . . . 10%." Czy naprawdę niczego nie nauczyliśmy się do tej pory? Czy ciężkie doświadczenia narodowe nie wydały żadnych wyników? To niemożliwe. To tylko gra nerwów w trzecim roku wojny, rozpasanych specjalnymi warunkami, przeżartych neurastenią—to niemożliwe, aby to było nasze prawdziwe oblicze.

W poszukiwaniu prawdziwego oblicza Polaka odwróćmy sytuację: z taką samą pasją, z jaką przeszkadzaliśmy sobie do tej pory —zacznijmy sobie pomagać. Tyle naprawdę wzorowych, szlachetnych aktów koleżeństwa obserwujemy na przykład w naszych szeregach żołnierskich. Może właśnie z tej gromady Polaków, która pomaga sobie solidarnie w każdej okazji /poczynając od zapięcia rzemyka przy ładownicy aż do narażenia własnego życia dla ratowania kolegi/—może z tej gromady ludzi młodych i zdrowych, ludzi Polski przyszłej, wypromieniuje, przejdzie przez całą emigrację jak prąd elektryczny niespodziane i przejmujące hasło: "P o m a g a j m y s o b i e !"

Zacznijmy pomoc od najbardziej potrzebujących. Otwieram z dniem dzisiejszym w mojej księdze rachunkowej "Bez blackoutu" trzy pozycje: 1/ Pomoc dla Polaków w Rosji, 2/ Pomoc dla polskich jeńców w obozach niemieckich, 3/ Pomoc dla Polaków, internowanych w Hiszpanii. Księgę rachunkową zaopatruję w napis: "P o l a k P o l a k o w i b r a t e m." Na tym miejscu kwituję odbiór 9 szylingów, przeznaczonych na pomoc dla Polaków w Rosji, przez wachmistrza W.D. ze Szkocji: "zamiast prezentu dla przyjaciół szkockich" /por. poprzedni numer "Polski Walczącej"/. Kwitując ten bardzo miły sercu pierwszy dar, przesłany z powołaniem się na moją skromną osobę, poddaję Kolegom następujące motywy i okazje dla składek:

Nr. 1. W dniu imienin Ojca, Matki, Żony, Dziecka, Krewnych, pozostałych w Polsce /zamiast podarunku/,

Nr. 2. W dniu imienin przełożonego, dowódcy lub kolegi,

Nr. 3. Zamiast podziękowania za przysługę przyjacielską,

Nr. 4. Zamiast "souveniru" dla przyjaciół szkockich i angielskich. Będziemy wymieniać imiona i nazwiska Szkotów i Anglików kwitując odbiór w języku angielskim,

Nr. 5. Zamiast biletu do kina lub na dancing,

Nr. 6. Zamiast partii pokera lub bridge'a /przyjmujemy zgłoszenia czwórkowe/,

Nr. 7. Zamiast kolejki whisky, ginu, sherry.

Zdeklarowane dary należy kierować za pośrednictwem "Postal Order" lub "Money Order" pod odresem: "Redakcja Polski Walczącej, 5, Portugal Street, London, W.C.2," podając w załączonym liście lub kartce:

1/ konto przeznaczenia, 2/ motyw wybrany od 1-7. Dla funduszu: "Polak Polakowi bratem."

Na dobry początek z mojej strony wpłacam na konto: "Pomoc dla Polaków w Rosji" zamiast "souveniru" 10 sh. /instead of a "souvenir" for Miss Jean Munro —10sh. for Poles in Russia/. oraz na konto pomocy Polakom internowanym w Hiszpanii—10 sh. zamiast kolejki whisky dla wachmistrza W.D. mego pierwszego ofiarodawcy, z którym w myśli piję zdrowie braterstwa, solidarności i na szczęśliwy . . . POWRÓT.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji

Inspektor Polskich Sił Powietrznych złożył £5.0.0 na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji zamiast kwiatów z okazji ślubu Państwa Kornela i Krystyny Brzozowskich.

* * *

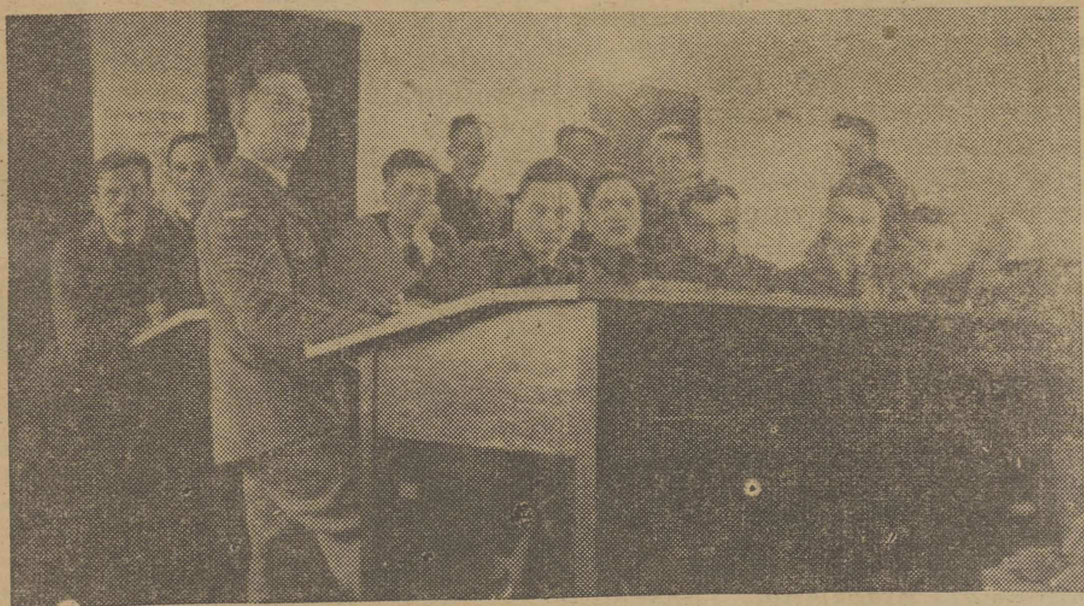
Nadto otrzymaliśmy na ten cel od płk. dypl. Gl. "zamiast kwiatów dla p. Krystyny Mikulicz-Radeckiej w dzień jej ślubu" £1; od p. Karola Leskowca nieprzyjęte honorarium za artykuł w "Polsce Walczącej" £2; od p. A. Stockiego za koperty ze znaczkami z korespondencji prowadzonej przez naszą redakcję £1; od p. Stefanii Zahorskiej sh.5; od p. Grzmielewskiego w odwzajemnieniu za nadesłany przez redakcję komplet "Polski Walczącej" sh.10; od st. strz. J. W. sh.3; od kpr. N. K. sh.5; od kpt. O. J. sh.7; od p. Wiktora Budzyńskiego "zamiast souveniru" (instead of a "souvenir" for Miss Jean Munro—for Poles in Russia) sh.10.

Nadto p. Wiktor Budzyński "zamiast kolejki dla wachm. W.D." (patrz dzisiejszy felieton "Bez black-outu") przes'ał 10 sh. na fundusz pomocy dla Polaków internowanych w Hiszpanii.

Łączną sumę: 11£ 10sh. przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Z życia obozów

W "szkółce" pilotażu



Życie w naszej "szkółce" zaczyna się po 7.15, kiedy w ogromnym hangarze stukilkudziesięciu czy iluś tam "pupilów" rytmicznie ćwiczy "*pity*" (*physical training*). Muskularne, dobrze zbudowane i opalone torsy naszych, odbijają na tle Anglików.

— Tych jamojadów, to jedynie *pity* co trzyma . . . —filozoficznie określają chłopcy.

Po gimnastyce, całe towarzystwo gania na śniadanie. Nasi, z minami cierpiętników, zabierają się do *porridge, sausage* (podobno w Anglii najwięcej chleba jest w . . . chlebie i w *sausage*), *bread with butter and tea.* Śniadanie jedzą bez podniecenia, nie entuzjazmując się. Przez dwa długie lata, nasi nie potrafili się przyzwyczaić do angielskiej kuchni. Po prostu—nie służy . . . Zazwyczaj po śniadaniu słyszy się stereotypowe:

— Teraz dopiero bym coś zjadł!

W międzyczasie, w "*Recreation Room,*" dokoła stolików już się grupują przyszłe "orły", i zaciągając się namiętnie "*player's'ami*", odwalają ożywioną "gadanę."

Młody i miły Jurek ze Lwowa, taka baciarska dusza zalewa kolejkę od samego rana. Słuchacze wiedzą doskonale, że buja jak cholera, lecz słuchają jego opowiadania o pierwszym locie z instruktorem. Czarne, szelmoskie oczy Jerzego, skupiają całe grono wdzięcznych słuchaczy. A na sali tak ciepło! A papieros taki smaczny po śniadaniu. . . .

— Pogoda, bracie, bardzo fajna. Mój rudzielec powiada, że polecimy na akrobacje. Fajno jest, ta czemu ni . . . ,

— Lecimy bracie, ta cholera coś mi się te wszystkie strzałki pomiszały, że nie mogę do kupy pozbirać, a on ci drze się—ta ja ni mogę zrozumieć, jeno odpowiadam "*sorry sir*". Ja ci mu "soruję", a on krzyczy; jak nie "*rudder*", to "*stick*", albo "*throttle*"—wtedy mie krew zalała i sobie myśle; jak ty jesteś taki cwaniak, to *fly* sam, a ja będę szpanował i mówię mu to. . . .

— Jakżeś mu to powiedział po angielsku? — zapytał któryś z "niewiernych Tomaszów".

—Ta ni przerywaj; nu mój rudy mówi "*all right.*" Poustawiał te wszystkie strzałki i hulamy dalej. Potym jak się z tą "*bloody budą*" skończyło, ta mój "*ginger*" znów w bałak "a teraz bracie ty mój w góry i w te akrobację" . . . Jesteśmy na odpowiedniej wysokości, ta on ci do mnie, czy lajkuję akrobatiks — taż ty durny wariacie, ta kto nie lubi akrobatiks? . . . To on znowu do mnie, "rób jak umiesz" . . . Ta czemu ni, wykombinowałem bracie całą wiązankę; nu, biorę ci ja *stick* i pcham go do przodu—trzeba trochę rozkręcić maszynę, ni . . . Leci moja maszyna na mordę, jak cholera, robimy *looping*' a, potym ściągam na siebie, patrzę a mego rudego nie ma, wyprowadzam znaczy się maszyne, a rudego w dalszym ciągu nie widać. Ta pomyślałem sobie, że pewnie gdzie spadł, więc dalej se zwitki kręcę, dopiero parę *feet*' ów nad jeziorem wyciągnęłem maszynę, ledwie, ledwie wyszła. Po chwili wyłazi rudy z budy, taki blady, jak śmierć, ja mu od razu: "*sorry sir,*" a on wcale nie krzyczy, tylko coś bałaka, że trzeba delikatnie, że jestem "*rude*" . . . Nu ta ja powiadam, że chce mi się śrubę, taką po polsku zrobić i wyrywam na 8.000 *feet*' ów, i stamtąd na pełnym gazie, bracie, w pionową pikę . . .

Na sali zapanowała na moment cisza. Jurek, jak Jankiel w "Panu Tadeuszu," wytrzymał pauzę:

—Ta joj! Jak mój rudy, bracie krzyczał, tabyś pękł ze śmiechu. Ja już nie sorował, trzymałem *stick* z całej siły i w te ziemie, w te lasy i jeziora, aż mój rudzielec przestał krzyczeć, ta ja sobie pomyślał, że teraz czas wyciągnąć . . . I wyciągnęłem.

Radzi by słuchać tak do obiadu, lecz czas już na poranną zbiórkę. Do zajęć! Tym bardziej, że mamy chorążego dyscypliny. Zasadniczo mamy dwóch chorążych z tą jednak różnicą, że jeden jest prawdziwy *gentleman*, zaś drugi, poprostu "*pig*" (Anglicy go tak przezwali)—nasi określają zwyczajnie ś . . .—zresztą mniejsza o to jak określają, należy mu się. W ogóle on ma jakąś dziwną przyjemność czepiania się, a także darcia się. Drze paszczę jak gdyby jedynie za to mu płacili . . . Naszych nie lubi, nazywa ich "*bloody yankees.*"

—I dlaczego aż "*yankees?*"

Chłopacy odwdzięczają mu się pięknym za nadobne —rysując jego podobizny we wszystkich możliwych i nie możliwych postaciach, na tablicach w salach wykładowych i w gorszych miejscach.

Po zbiórce, zaczyna się prawdziwa praca, praca w przeszkalaniu się. Nasi mają duże uznanie u Anglików. Większa część instruktorów woli szkolić Polaków. Nasi kochają lotnictwo, jak tylko można tym uczuciem objąć pragnienie latania. Polus w samolocie—to żywioł, harmonia pracy silnika, mózgu i mięśni . . .

—*You Poles are too temperamental, that is no good!*

—*But you British are "slow-motion"!*

—*Yes, slow but sure!*

—*You see, we prefer to be too temperamental. By this way we can achieve everything, sooner or later! It is so natural, that you can feel it in your heart, in every part of your blood, and like this it is just going on . . . see!*

Są to dyskusje, pomiędzy naszymi a Anglikami. Nasi są uparci—tacy "*persistent Poles.*" Jeden na przykład, z tych "małoletnich" (ach ci małoletni . . .) —koniecznie chciał, by go zakwalifikowali na myśliwca. Codziennie więc latał nad *flight*' em; pikował, korkociągi wyprawiał, *timekeeper*'kę nastraszył aż spazmów dostała—bała się biedaczka, aby się chłopak rzeczywiście nie zabił, aż wreszcie dowódca *flight*'u powiada:

"—*All right, all right, you will be a fighter.*"

Małoletniak naturalnie:

"—*Thank you, sir,*" i t.d.,—a potym do chłopaków:

—Bracie, żeby mi nie dał *fighter'a*, to bym mu takiego kota popędził na lotnisku, że musiałby . . .

Jednego w szkółce nazywają "żniwiarzem." Jak poleci na loty, to zaraz nad dzielnicę, gdzie jego ukochana mieszka i takie zaczyna odwalać loty na kosyniera, że ludziska z domów wychodzą, a on jak nie przypiczy, wprost na ogródek (może nadobna stoi) aż bractwo w kucki przysiada i znów świeca w dalszym ciągu ponad domami i krzakami. Heca jednym słowem. . . .

Przed południem, jedna grupa ma wykłady a druga lata. Naturalnie instruktorzy są Anglicy i wszystko po angielsku. Mamy kilku, naprawdę byczych chłopów, starają się jak mogą i pomagają naszym. Jeden z instruktorów od silników, nie można powiedzieć — *o key;* wprawdzie ma trochę spóźniony zapłon i śmieje się jakoś na tempa —ha, ha, ha, ale to nic, można z nim wytrzymać. Więc któregoś dnia, nasz instruktor nie wiadomo z jakich powodów, wziął i ożenił się z ładną, psia krew, telefonistką z naszej szkółki.

Wreszcie zbliża się pora obiadowa. Znów walą chłopacy do *airmen's mess.* Za stołem "dziecina", też z małoletnich (dwa metry wzrostu), narzeka sobie na jedzenie:

— To bracie po prostu śmichi —chichi, a nie jedzenie. Przecież latam, nie, to potrzebuję coś czuć, nie. Te jeich mięso i pudding, to bym zamienił na porządny talerz grochówki . . .

— Z wędzonkom, co! Jestem gotów ze dwie menachy wtroić.

— Eh, nie ma to jak w Polsce. Dali ci dołek cały bigosu z kartofelkami, to przynajmniej człowiek wiedział, że sobie podżarł, albo wieprzowiny . . .

— Też o wieprzowinie, tutaj sam król tego nie jada, a jemu myśli dadzą!

— Tak, żeby chociaż jeden talerz grochówki, bym czuł, że . . .

Wszyscy zgadzają się gremialnie, że czułby . . .

Nasi jednak z jedzeniem też dają sobie radę. Zrobili oko do kucharek i każdy, który zechce zsiadłego mleka—proszę bardzo, ile dusza zapragnie. Szef kuchni zaczął nawet podejrzewać, że naumyślnie dla naszych, kuchary zaczęły mleko psuć.

Najlepszą porą dla naszego rozgadanego towarzystwa, jest czas po obiedzie. Rozsiądą się za stolikami, gdzieś w kącie całą ferajną i zaczyna się . . .

— Poleciałem se pokręcić trochę akrobacji—zaczyna Staszek, ma bardzo niebieskie oczy i bardzo jasne włosy. — Zrobiłem se beczkę i lecę na plecach, aż znudziło mi się, więc kombinuję se, daję nogę nie, czekam co będzie dalej . . .

— Co miałeś czekać, przecież wpadasz od razu na mordę, w korkociąg — przerywa jeden z niecierpliwych.

—A widzisz, że nie, cholero, bo dostałem ześlizg i przeszedłem do połowy *looping'a*. Chciałem wykombinować nową figurę, ale jakoś mi nie wyszło . . .

— A mnie znów instruktor mówił, że nie mogę kończyć akrobacji niżej, jak na 3.000 stóp, więc dla pewności poleciałem na 4.000. Mam trochę pietra, zaiwaniam jeszcze na 1.000 stóp wyżej, patrzę pod siebie, ale ziemia jakoś za blisko, nie dowierzam już instrumentom i posuwam na 6.000—wpadam w grubą warstwę chmur. Nie mogę przecież kręcić akrobacji w chmurach, walę więc jeszcze wyżej. Jestem blisko na 7.500-8.000 stóp. Przeżegnałem się, zawsze wiesz bracie, pierwszy raz — robię rundę. Pode mną nic, jeno morze białych poszarpanych chmur, a poprzez okna widać ziemię—jak jedna ciemna plama. Zdecydowałem się wreszcie odwalić całego *looping*'a. Maszyna na pełnym gazie, zawsze człowiek jakoś pewniej się czuje. Daję drążek do przodu i zapycham piką na całego, mam znaczy się szybkość wymaganą i tak walę . . . na sto dwa! Czas, myślę sobie ściągać i wiązać *looping*'a, trzymam więc drążek na brzuchu i czekam, ale jakoś to nic nie wychodzi. Maszyna robi ślizg na skrzydło i lecę na twarz, wpadając w chmury. Staram się wyprowadzić w chmurach, ale ci mi się wszystkie strzałki na zegarach pomieszały i sam nie wiem co jest. Krew mnie więc serdeczna zalała, pies z tobą tańcował—myślę, wal . . . Wyleciałem z chmur i aż mi ciarki poszły po plecach, jakie 200 stóp . . . ziemia! Zobaczyłem jeno jak barany pasą się na łące, nie chciałem się pakować w biedne owieczki, więc całą siłą na siebie i . . . wyprowadziłem na lotnisko.

Czasami jak naszym sprzykrzy się kręcić akrobacje, albo odwalą nakazane ćwiczenia, odważniejsi namawiają, lub zachęcają innych do walki w powietrzu, albo lotów w szyku. Gdy taki odważniak zbliża się do innego samolotu, proponując walkę—ostatni, najczęściej Anglicy, "dostają zimnych nóg" i znikają w podskokach . . .

Dona, naprawdę morowy chłop, szkoda więc, że go—zawiesili, zasadniczo nie zawiesili, ale chłop nie lata, zasmuca się przeto na śmierć, a było to tak:

—Wylądowałem bez podwozia, nie wiedząc, że go nie mam!

Gdy go wezwano do szefa pilotów-instruktorów, zagiął go w sposób wprost nieprawdopodobny (gdyż za niskie loty—pilota czeka wydalenie z personelu latającego, albo po prostu na strzelca lub obserwatora) . . .

—Powiedz mi od początku jak to było?—pyta *squadron leader.*

—Poleciałem pokręcić akrobacje. Zrobiłem beczkę na 5.000 stóp, mając maszynę na plecach wyprowadziłem ją półlooping'iem. Przy wyjściu z *looping*'a, przytrzymałem maszynę do utracenia szybkości i wejścia w korkociąg. Jestem w korkociągu, po zrobieniu kilku zwitek wyprowadzam na wysokości 4500-4000 stóp. . .

—*O key* jesteś na tej wysokości, i co dalej?

—Po korkociągu pikuję stromo. —Dona zaczyna się zapalać, pokazuje ruchami, które zaczyna naśladować *squadron-leader*, obaj gorączkują się. Chodzi tutaj o to, że Dona chciał zrobić polską "śrubę," zaś Anglik w żaden sposób nie może sobie uprzytomnić.

—*Well*, jesteś w pice, musimy znów od początku!

—*Yes, sir.* Jestem na pełnym gazie i w pełnej pice, no i daję lotkę.

—Dlaczego?—pyta zaskoczony *squadron-leader.*

—Bo u nas w Polsce, *sir*, to nazywa się śruba.

—*It is an aileron turn, sir!*— pomagam se swojej strony, jako *interpreter.*

—*All right, all right!* ale w jakim celu?

—By oderwać się jak najszybciej od nieprzyjaciela, *sir!*

—Tak, w pełnej pice i potym lotkę . . .—kombinuje Anglik.

Dona stoi na "baczność," jak na rozżarzonych węglach. Modli się w duchu, żeby tylko nie zawiesił w pilotażu, żeby mógł jeszcze latać. Anglikowi też szkoda go, ale w żaden sposób nie może sam tego załatwić. Wciąż kombinuje, napewno poleci sam, będzie chciał spróbować śrubę . . . polską śrubę.

Znów zbiórka, loty wykłady, *link-trainer* i tak przez cały Boży dzień. Wiara się kuje na całego, to też mieliśmy kilku prymusów; Sykstus, notabene świetny pianista, zagiął nawet Anglików, a Czesio P. znany hokeista, też. Za przykład stawiani byli angielskim uczniompilotom, nie tylko w lataniu, lecz w wyszkoleniu ziemnym, a Stefan Chm . . . inni . . .

Nad całością czuwa "książępan," rasowy, taktowny pan, trzyma całe towarzystwo za twarz w "białych, jedwabnych rękawiczkach". Sam doskonały pilot, wie dobrze jak naszych ująć.

— Bracie poleciałem z majorem na akrobacje, myślę co on mi może takiego pokazać. Patrzę, a on ci se spokojnie pikuje, a potym leciutko maszynę podciągnął, drążkiem ciut, ciut w bok — beczka bracie gotowa, następnie nóżka i już skończone, wszystko jak w maśle, nawet nie czułem co i kiedy . . .

Na początku, to nasi bradziażyli się, więc jak nastał chorąży od dyscypliny, ten "*pig*," zaczęli naszych naprawdę brać za twarz —chcieli z nich wojsko robić. Nie wiedzieli jak karać, to po zajęciach godzinkę pracy w ogrodzie, naturalnie nasz *interpreter* (*more interruptor than interpreter* . . .) określił zaraz to jako "*digging for victory*"—chłopacy zaczęli więc sobie zabawę z tego urządzać.

Jeden z takich zawieszonych— Marianek, młode toto, po prostu dzieciuch, łajza, kunduś, łazarz skończony—zbuntował się . . .

— Albo jestem pilotem, albo nie!—zdecydował się stanąć do raportu do "księcia-pana."

Przyszedł do pokoju; czapeczka ledwie, ledwie trzyma się na dawno niestrzyżonej czuprynie kruczych włosów, szkolna podpinka na czapeczce brudnawa. Mundurek naturalnie przerabiany; porządnie kusy, szeroki w ramionach, piersi owszem wywatowane, jakaś odznaka "olimpijska". Spodenki też poszerzane, kliny odpowiednio szerokie (gdy *Commanding Officer* ma przegląd, to aż choroby morskiej dostaje;—*Are you in the Navy or in the Air Force?*) Kamaszki znaczy się cywilne, maseczka zaś niedbale wisi przez ramię:

— Panie majorze — chciałem powiedzieć, że za niewolnika tutaj jestem, przyjechałem, prawda, walczyć . . .

"Książe-pan" naturalnie nic, spokojnie, wcale a wcale nie uniósł się, jeno uważnie obserwuje Marianka ,a ten wali swoje:

— Ja jestem pilotem, należy mi się latać, a kartofle i szparagi to dla niewolników w koloniach . . .

Chłopak aż rumieńców dostał, oczy mu się skrzyły i taki buńczuczny, jak gdyby w tej chwili cały świat—to szczeniak . . .

Już "książe-pan" chciał mu coś powiedzieć, gdy wtem jego wzrok zatrzymał się na dymie unoszącym się z prawej kieszeni munduru Marianka. Cwaniak zapomniał zgasić papierosa w kieszeni, więc teraz kopciło się na całego. Major wówczas odpowiednio go przyugasił . . .

Dzień dobiega końca. Wracają maszyny z lotów, kończą się lekcje —zmęczeni chłopacy po *afternoon tea* jadą autobusami do domów.

Mieszkamy prywatnie — Anglicy, gospodarze są bardzo mili i gościnni, nasi zaś umieją sobie zaskarbić względy. Dziś każdy na przykład "Polus" ma elegancko zaprasowane spodnie, codziennie, "na kant" (gospodynie pozabierały swoim mężom specjalne deski do prasowania spodni), zaraz można to zaobserwować, gdy się wyjdzie na miasto; cywilni przeważnie mają spodnie w rurkę.

Pomimo zmęczenia, odświeżeni kolońską wodą, kremem "Nivea" (kompletny brak w mieście, wykupione całkowicie przez naszych)—podąża wiara na dancing do "Cameo" albo po prostu na randkę.

W pobliżu malowniczego mostu Eden'a, gdzie w skrętach bystro toczy swe wody rzeka, gdzie piękny park na stokach starego zamku, gdzie tyle zacisznych kącików—lokują się nasi ze swymi "*targets for to-night*" . . .

Czasami wypryśnie jakiś gość w mundurze *khaki* — nasi mu pewnie chcieli wycisk uczynić, by nie miszał . . .

Księżyc durnie przygląda się wyczynom naszych wesołych chłopców i przerażony chowa się za chmury.

Trudno ich naprawdę pojąć; przez tyle granic, państw obcych uciekać z obozów, ciągle narażając się na czyhającą śmierć, walczyć wszędzie, gdzie tylko ku temu sposobność nadarzała się, zdala od swoich, zdala od ojczyzny—dziś, dziś pewni swojej sprawy bardziej, aniżeli kiedykolwiek — TRWAJĄ . . .

Trwają niezłomni, zdecydowani na dalsze poświęcenia i walki, zaprawiają się, doskonalą się, są pełni siły i męskości—ci przyśli "rycerze przestworzy." Wśród nich, człowiek siebie odnajduje!

Cisza już dawno zaległa nad miastem. Gdzieś, na skrzyżowaniu ulic warta czuwa przy działku przeciwlotniczym, które ani razu od wybuchu wojny nie wystrzeliło. Nad miastem—które nie miało jeszcze nalotów lotniczych, nad szczęśliwym miastem, gdzie ciemną noc z black-out'em pomieszaną zaległa cisza, tylko gdzieś jeszcze dźwięczy radosny śmiech i rozmowa powracających do domu "Polusów" . . .

Szczęśliwi są swą siłą, swą wartością życiową i dumą, że są POLAKAMI . . . Za nimi też biegnie serdeczne życzenie, takie szczere, amerykańskie: —*Remember boys—chin up, keep smiling and happy landing, for all of you.*

JERZY LASZKOWSKI



Przegląd polityczny

Na łamach jednego z pism polskich poruszono sprawę mowy Stalina, która rzeczywiście zasługuje na największą uwagę. Jest to mowa, w której Stalin powoływał się na kulturalny dorobek rosyjski, cytując nazwiska Czechowa, Tołstoja, Czajkowskiego, i t.d. Mowa bardzo charakterystyczna, chociaż by z tego względu, że wypowiedzenie jej nawet rok temu —byłoby nie do pomyślenia. Nie mniej jednak interesujący jest ton, w który uderzył Stalin w czasie niedawnego pobytu gen. Władysława Sikorskiego w Moskwie. Ciekawe są również bardzo niektóre audycje sowieckiego radia, w których o wiele więcej, aniżeli o komuniźmie, mówi się o walce w obronie Słowiańszczyzny, narodu rosyjskiego i t.d. Wnioski, które stąd można wyciągać muszą być oczywiście bardzo ostrożne, tym nie mniej zaznaczenie ich uważamy za wskazane.

Trzeba unikać nieporozumień. Ani Stalin, ani Beria, ani Kalinin, ani inni czołowi politycy komunistyczni—swych zasad i haseł z pewnością się nie wyrzekli, są i będą wyznawcami Trzeciej Międzynarodówki. Ale wojna jest kataklizmem, którego przebiegiem nie jest w stanie kierować nawet najzdolniejsza jednostka, ani nawet niezwykle silna, może i genialna w konsekwencji swego postępowania — grupa ludzi. Wojnę można prowadzić. Natomiast nawet wódz, mający najwyższą , dyktatorską władzę jest zależny od tych przejawów duchowych w zbiorowym życiu narodu, jakie wojna wytwarza.

Byłoby rzeczą ciekawą wykazanie stosunku, jaki zachodzi między geograficznym układem danych krajów a zmianami ustrojowymi i społecznymi, jakie powoduje wojna. Na podstawie pewnych obserwacyj, można ryzykować tezę, że *zmiany społeczne, zachodzące na skutek kataklizmu wojennego, są silniejsze w krajach kontynentalnych, aniżeli np. wyspiarskich, bardziej odosobnionych i tym samym nastawionych tylko na pewną ewolucję myślenia.* Ta teza znalazłaby potwierdzenie w historii Rosji, gdzie wojna, zależnie od swego nasilenia wywoływała zawsze mniejsze, większe, lub wprost ogromne zaburzenia społeczne.

Wstrząs przez który przechodzi dzisiaj Rosja jest bez wątpienia największy w jej dziejach. Wyprawa napoleońska w 1812 jest tylko drobnym epizodem w porównaniu do obecnych zmagań. Napoleon, wierny swej zasadzie, że przeciwnik uderzony w serce, nie będzie rozpraszał swych sił na pobocznych terenach walki—atakował właściwie tylko jeden odcinek, szedł tylko jednym, wąskim szlakiem. Wojna obecna przewala się przez całe ogromne terytoria, od Morza Białego aż po Czarne. Jeżeli Niemcy ponieśli bardzo duże straty, to nie ulega wątpliwości, że rosyjskie nie są bynajmniej mniejsze. Poza tym, wojna przechodzi przez spalone progi domów wielomilionowej ludności cywilnej. Nie jest to daleki front, jak w 1914. Przez Rosję, przez najważniejsze pod względem wpływów społecznych jej kraje, przewala się kataklizm, z którego grozy trudno sobie jeszcze dzisiaj zdać sprawę.

I dlatego te zmiany poglądów, o jakich słyszymy nie są z pewnością wymysłem propagandy. Przeciwnie, propaganda moskiewska musi się już do nich dostosowywać, kierownicy olbrzymiego państwa muszą szukać *także* innych haseł. Dzisiaj "także"—a jutro? *Jutro, kto wie, czy nie "przede wszystkim."* Rosja jest krajem nieograniczonych możliwości. Zwłaszcza Rosja, która przejdzie najstraszniejszy w swych dziejach wstrząs duchowy.

Nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby w Sowietach nastąpił silny zwrot do liberalizmu. Nie dziwilibyśmy się również, gdyby o brzegi tego państwa uderzyły wielkie fale mistyczne. *Wojna obecna musi przynieść i z pewnością przyniesie odrodzenie zasad chrześcijaństwa.* Byłoby nie do pomyślenia, aby Rosja mogła utrzymać poglądy czysto materialistyczne, aby zdołała się całkowicie odciąć od reszty Europy. Myśląc o jutrze Europy trzeba operować pojęciami długodystansowymi. "Wczoraj" było nad wyraz bolesne, "dzisiaj" jest ciężkie—a jutro? Jutro mogą zajść przemiany nadzwyczaj doniosłe.

Sowiecka Akademia Umiejętności wystosowała protest przeciwko barbarzyństwom niemieckim. Między innymi wspomina o zniszczeniu pomnika Mickiewicza i nazywa tę zbrodnię—jakże słusznie—hańbą. Ten głos witamy z wdzięcznością. Bardzo pragnęlibyśmy, aby w Rosji pojawiały się co raz częściej i mowy i prace i artykuły dotyczące spraw polskich. Wkład polski w obecną wojnę jest olbrzymi. Historia wykaże, do jakiego stopnia nasze zdecydowanie, nasze poświęcenie, zaważyło na losach świata. Nie zapominajmy, że przed wrześniem 1939 samolubstwo i strach torowały Hitlerowi drogę nie tylko łatwą, ale wprost po różach usłaną—*do wszystkich zwycięstw bez wojny.*

Przed owładnięciem Europy bez jednego strzału, przed panowaniem hitleryzmu nad całym kontynentem a może nad całym światem *ocaliła ludzkość wola oporu narodu polskiego.* Ten opór społeczeństwa, beznadziejnie bohaterski *uratował Zachód, ale także oddał olbrzymią przysługę Wschodowi.* Za niezrozumienie tej prawdy zapłacono strasznie i w Paryżu i w Moskwie. Nie chcemy nic wypominać, potrafimy stłumić jakże uzasadniony ból i gorycz, wychodząc z założenia, że patrzeć trzeba nie w przeszłość, ale w przyszłość. Lecz gdyby z tych strasznych doświadczeń ponurych miesięcy 1941 roku nie miano wyciągnąć wniosków, gdyby ta hekatomba krwi miała pójść na marne—to dzieje świata byłyby historią jakiegoś potwornego koszmaru, jakiejś niesamowitej bzdury. Wierząc w postęp ludzkości i zwycięstwo prawdy odrzucamy tę myśl i jesteśmy przekonani, że polityka rozumu, jaką kierujemy się w stosunku do Moskwy, znajdzie zrozumienie w tak ciężko doświadczonej Rosji.

Pisaliśmy, że kwestie ustrojowe ulegają zmianie; nie są one zresztą nigdy tak ważne, aby miały się zdecydowanie ważyć w polityce zagranicznej. Najważniejsze są negatywne przesłanki geopolityczne. Otóż Rosja w stosunku do Polski, tych przesłanek nie ma. Ziemie, które są Polsce niezbędnie potrzebne, te ziemie dla Rosji żadnego znaczenia nie posiadają. *Przeciwnie, wysunięcie granic rosyjskich poza ustalone w Rydze granice polsko-sowieckie drażniłoby ustawicznie stosunki między Moskwą a Warszawą, dałoby znowu wyśmienitą okazję Niemcom do prowadzenia wielkich intryg i w rezultacie doprowadziłoby całą Europe do nowej katastrofy.*

Z drugiej strony Rosja nie ma żadnego powodu do jakichkolwiek obaw przed Polską. Granicę ryską przyjął naród jako granicę kompromisową, będącą wynikiem dobrowolnego układu. Było to ogromne ustępstwo, potwierdzające najlepszą wolę społeczeństwa do utrzymania z Rosją—bez względu na jej ustrój—dobrych stosunków. Stanowisko to zaznaczyło się zresztą wybitnie w czasie układów o pakt o nieagresji, który aprobowały wszystkie stronnictwa polskie. *Zrozumienie w Moskwie tej prawdy, że silna Polska leży w interesie Rosji tak, jak w interesie W. Brytanii leży niepodległość Holandii, Belgii, Norwegii—może otworzyć ogromne horozynty nie tylko współpracy obu państw, ale także zabezpieczyć pokój europejski, i to na długie bardzo lata.* Dlatego tę przemianę jaką niewątpliwie przechodzi Rosja, uważamy za korzystną i śledzimy ją z całym napięciem.

Uwaga całego świata skupia się oczywiście na europejskim wschodzie. Front libijski i front wschodnio-azjatycki, mimo niewątpliwej doniosłości jest jednakowoż frontem drugorzędnym. *Głównym przeciwnikiem są Niemcy i klęska Trzeciej Rzeszy pociągnie automatycznie katastrofę zarówno japońską, jak i włoską.* Cały wysiłek sprzymierzonych musi iść w kierunku zniszczenia potęgi niemieckiej na kontynencie europejskim. Nie Mussolini, nie Mikado, ale Hitler jest ciągle jeszcze przeciwnikiem nr. 1. Obrady waszyngtońskie dowodzą, że z faktem tym liczą się kierownicy nawy zarówno brytyjskiej jak i amerykańskiej.

Rozwój wydarzeń wojennych na froncie rosyjskim idzie w tym kierunku, że są dopuszczalne najśmielsze nawet domysły. Nie wierzyliśmy i nie wierzymy w cudotwórcze moce sztabu generalnego niemieckiego. Co więcej. Nie wierzymy, aby istniał jakiś genialny rezerwowy plan, na wypadek niepowodzenia wojny błyskawicznej. Położenie armii niemieckiej jest w tej chwili ciężkie. Czy armia, tak bardzo nadwyrężona pod względem fizycznym i moralnym, będzie mogła podjąć nową, zwycięską ofensywę? Czy zdoła uzupełnić w krótkim przeciągu czasu olbrzymie straty materiałowe? Czy zdoła uzupełnić jeszcze większe straty ludzkie — przede wszystkim w broni pancernej i lotniczej? Wszystko to są pytania, na które dzisiaj stanowczo brak odpowiedzi. Wszystkie opowieści o "walce do ostatka" o "obronie każdego niemieckiego domu"—uważamy za nierealne. Na zniszczenie kraju i narodu Niemcy z pewnością nie pójdą. Dlatego też liczymy się z podjęciem jakichś bardzo gwałtownych a nieoczekiwanych ataków na innym odcinku walk. W razie ich niepowodzenia wszystkie, pozornie najbardziej sensacyjne wypadki, są możliwe. Aż do całkiem niespodziewanych rokowań pokojowych włącznie.

tk

SPIS RZECZY

Skrzynka pocztowa

Ośrodek Korespondencyjnego Kursu Handlowego—powołany do życia celem wydania skryptów z przedmiotów handlowych, przewidzianych programem dla liceum handlowego—wobec braku źródłowych pomocy naukowych zwraca się tą drogą do wszystkich posiadaczy polskich podręczników handlowych z prośbą o ich odstąpienie lub wypożyczenie.

Poszukuje się podręczników z następujących przedmiotów: arytmetyka handlowa, ekonomia, geografia gospodarcza, korespondencja handlowa, księgowość, nauka o handlu, nauka o państwie, prawoznawstwo, technika handlu światowego, towaroznawstwo, Polski Kodeks Handlowy, Kodeks Zobowiązań, ponadto takich książek, któreby traktowały i o innych zagadnieniach ekonomicznych, mogących być pomocnymi przy opracowywaniu skryptów.

Ewentualne przesyłki uprasza się przekazywać pod adresem: Witold Bobiński, 28 Southerland St., Glasgow W.2.

Kierownictwo Ośrodka Korespondencyjnego Kursu Handlowego

* * *

Kochany Panie Redaktorze,

Proszę przyjąć serdeczne wyrazy podziękowania i uznania. Uczucia dawne i dług wdzięczności dla "Polski Walczącej" spore, ale postanowiłem je wyrazić, bo rzeczywiście doskonały jest ten numer 2 z 10.I.42. I dobór i treść artykułów i zestawienie całości i atmosfera pogodnej solidności—bardzo podnoszące na duchu.—*Doskonały artykuł Miszewskiego* ale bodaj większą zasługą jego umieszczenie. Dotychczas, w tak aktualnych sprawach ośmielał się głos zabierać w sposób wyraźny tylko "Biuletyn Zachodnio Słowiański." Wiem napewno, że wielu będzie wdzięcznych za umieszczenie tego artykułu, gdzie jak najsłuszniej łączy autor sprawę granicy zachodniej—Sprawę Zachodnią—z przyszłym, daj Boże, związkiem z Czechami. Ciekawa i pożyteczna *notatka Janickiego* w skrzynce pocztowej, oddająca sprawiedliwość zaharowanemu Urzędowi Oświaty i Spraw Szkolnych. Mam nadzieję, że dacie nieraz miejsce głosom popierającym tę placówkę, która z wiadomych powodów ma nieraz bardzo utrudnione zadanie.—*Doskonałe—jak zawsze "Bez blackautu."* Prosiłbym powiedzieć p. Budzyńskiemu, że jest uważnie czytany i robi naprawdę wiele dobrego.

I w ogóle reszta doskonała—ciekawe artykuły—doskonałe tytuły,—treść obejmuje żywo, barwnie i bezpretensjonalnie całość naszego wysiłku zbrojnego w różnych krajach. Bardzo dobre naświetlenia sytuacji—realny optymizm.

Wypowiedziałem się, a ostatnio słyszałem tak wiele zachwytów i aprobaty dla Pańskiego pisma, że te moje serdeczne słowa uznania, i podziękowania są napewno głosem wielu.

S. Grocholski.

Drużynom sportowym Armii Polskiej "**WIŚLE**," "**POLONII**" i "**WARCIE**" — zasyłają serdeczne pozdrowienia i gratulacje z osiągniętych dotychczasowych wyników—

P i ł k a r z e S.B.S.K.:
— G e r u l a Stanisław
W.C.K.S. "Junak"—Drohobycz
— K o m e n d o
B o r o w s k i
Antoni
L.K.S. "Pogoń"—L w ó w.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej".

W załączeniu przesyłam Postal Order na 3sh., jako opłatę za kwartał bieżący od 14.X.41 do 14.I.42 r.

Proszę przyjąć moje serdeczne i szczere życzenia w redagowaniu tak ciekawych zawsze tygodników "Polski Walczącej".

Czołem rzetelnej pracy Redakcji "Polski Walczącej" od żołnierza 1-szej Brygady Spadochronowej.

Jewasiński Witold

* * *

Goliszewski Zbigniew Gabriel, internowany w Campo de Concentracion—*Miranda de Ebro* "Burgos", Hiszpania—poszukuje swego szwagra inż. chem, Giedroycia Jana lub jego brata Giedroycia Olgierda.

* * *

Pan. J. Zajączkowski proszony jest o podanie redakcji swego adresu.



WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.